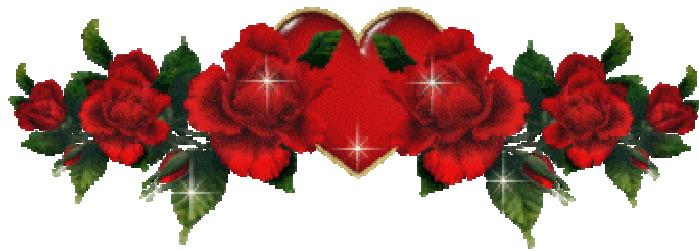




Dianne Drake



*Lekarstwo dla
zakochanych*

Tytuł oryginału: *The Doctor Dilemma*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lacy Archer odchyliła głowę, zmrużyła oczy przed lipcowym słońcem i wlała strużkę zimnej wody marki Glacier do wyschniętego gardła. Znalazła się w zupełnie nowym miejscu, gdzie miała pracować z jakimś doktorem Washburnem. Wyglądało na to, że nie wyjdzie na tym źle. Spodziewała się, że Washburn, niemłody już mężczyzna, będzie ją traktował jak jej dziadek, a nie jak wszyscy ci lekarze, z którymi miała dotąd do czynienia.

- Mam dość wyścigu szczurów - stwierdziła.

- A kto wygrywał? Pani czy te szczury? - Burmistrz Jed Lambert otarł kropelki potu ze swojej okrągłej twarzy. Przeniósł wzrok na dżipa cherokee zaparkowanego na miejscu dla niepełnosprawnych i wrócił spojrzeniem do Lacy.

- Łap albo daj się złapać, na tym to polega. Któregoś dnia podniosłam głowę i zobaczyłam, że spada na mnie wielka sieć. Wtedy właśnie postanowiłam zwać.

- Cieszę się, panno Archer...

- Lacy - przerwała mu. Oficjalne formy były tu zbędne. Chciała się zdomowić w Sunstone w stanie Indiana. „Panna Archer” czy jeszcze gorzej: „siostra

Archer” brzmiało zbyt formalnie. Nadszedł czas na „Lacy”.

- Cieszymy się, że przyjęłaś naszą ofertę, ale muszę cię uprzedzić, że zaszły pewne zmiany.

- Tak? - spytała ze ściśniętym sercem. No tak, to ogłoszenie w piśmie dla pielęgniarek było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe: pensja,

mieszkanie, świeże powietrze. Może pielęgniarka, która miała odejść, stwierdziła, że zbyt wiele traci.

- Tak? - powtórzyła. - Spóźniłam się?

- Nie, nie - wtrącił zaraz burmistrz. - Doktor Washburn miał zawał tydzień temu.

- Och, to przykre. Jak się czuje? - spytała. Odliczała dni do końca pracy na chirurgii, nie skreślała ich co prawda czerwonym flamastrem w kalendarzu, ale robiła to w wyobraźni. Nie miała żadnego planu B na wypadek, gdyby plan A nie wypalił.

- Nieźle, ale zdecydował się na emeryturę. Nie mieliśmy czasu skontaktować się z tobą, ale znaleźliśmy już doraźne zastępstwo za doktora. - Burmistrz spojrzał znowu na dżipa, tym razem marszcząc brew. - To kolega wnuka doktora Washburna, z Chicago. Świetnie wykształcony. Nazywa się Jack Sutton. Odejdzie, kiedy znajdziemy kogoś na stałe. - Przerwał i kopnął kamyk pod nogą. - Mam nadzieję. - Patrzył, jak kamyk toczy się po chodniku, po czym przeniósł niepewny wzrok na Lacy. - Chcesz go poznać? Czeka w moim biurze. Jestem z nim umówiony na lunch. A ty na pewno też jesteś głodna po podróży. - Cofnął się dwa kroki, uśmiechnął i gwałtownie skinął głową. - Skoczę na dworzec autobusowy po twoje bagaże. Po lunchu sobie porozmawiamy. - I zanim Lacy zdążyła coś powiedzieć, burmistrz Lambert zniknął na rogiem.

- No dobra - westchnęła. Objęła spojrzeniem budynek ratusza, zastanawiając się, cóż za potwór tam siedzi, że burmistrz tak trzęsie portkami. „Nie ma odwrotu, Lacy”, powiedziała sobie. Za daleko zaszła. Sprzedała dosłownie wszystko, łącznie z samochodem, zyskując trochę

pieniędzy na nowy start w Sunstone. A to znaczy, że musi przyjąć zmiany z dobrodziejstwem inwentarza.

W biurze burmistrza prostota rzucała się w oczy: przeciętne metalowe biurko, podobne półki i szafy na dokumenty. Natomiast mężczyznę, którego Lacy tam zastała, trudno by podejrzewać o skromność. Sądząc po długich znaczących westchnieniach i bębniących palcach, był niecierpliwy. Był też próżny i nadęty, zaparkował swój wóz w miejscu zarezerwowanym dla niepełnosprawnych. Przestała się dziwić, że burmistrz od niego uciekł.

Nie miała nawet ochoty przedstawiać się, bo znaczyło to początek zawodowych relacji. Zamierzała zakręcić się na pięcie i wyjść bez słowa, kiedy znów przypomniała sobie, że sama tego chciała. Poza tym facet był tylko na zastępstwie.

- Jestem Lacy Archer - odezwała się w końcu. - Nowa pielęgniarka.

- Napiłbym się kawy, panno Archer. Czarnej. - Miał głos pełen pychy, jakby przywykł wyszczekiwać rozkazy, które inni posłusznie wykonują.

- Po drugiej stronie widziałam jakąś knajpkę.

- Ja też. To może skoczy pani i przyniesie mi kawę?

- Doktor Sutton zmienił pozycję na dębowym krześle, krzywiąc się przy próbie założenia nogi na nogę. - Cholera - mruknął, przeklinając piłeczkę golfową, która roztrzaskała mu kolano.

- Mogę w czymś pomóc? - Teraz dopiero zobaczyła laskę wspartą o krzesło.

- Pomoże mi pani, jak mi pani przeniesie tę kawę - parsknął. - I kanapkę z indykiem na razowym chlebie, tylko białe mięso. Do tego pomidor, sałata, trochę musztardy.

- Jestem pielęgniarką, doktorze, nie pańską służącą.

- Moja pielęgniarka, panno Archer, podaje mi lunch. Niech dadzą też obok ogórek konserwowy, byle nie w plasterkach.

Lacy wciągnęła głęboko powietrze i zatrzymała je na chwilę, po czym wypuściła je dość głośno, żeby to usłyszał.

- Nic dziwnego, że spłoszył pan burmistrza.

Jack poruszył się, chciał zobaczyć tę pielęgniarkę, lecz musiał się zadowolić jej cieniem na ścianie. Poznał mimo to, że jest zirytowana i założyłby się, gdyby miał taki zwyczaj, że on w najbliższej przyszłości nie dostanie czarnej kawy ani żadnej innej. Ani kanapki z indykiem, oczywiście, o ogórkach nie wspominając.

- Jeśli chce pani znać prawdę, panno Archer, to on mnie przeraża. Ta dziura mnie przeraża. Koszmarna prowincja, dam głowę, że zamiast karetki mają tu wóz drabiniasty.

- Jeśli jest sprawny, nie widzę problemu - odparowała natychmiast.

- Ja też, gdyby zawiózł panią po mój lunch. - Popatrzył na puste biurko i starał się uspokoić. Może się przyzwyczai. Zgodził się tylko na dwa miesiące albo do przyjazdu nowego lekarza. Musi to teraz jakoś znieść i tyle. - Tylko żeby majonez był niskokaloryczny - dodał.

- Wysoko dla pana skakali w tym szpitalu w wielkim mieście? - spytała, przygryzając wargę.

- Nieważne, jak wysoko, ważne, że szybko. - Na jego twarzy pokazał się cień uśmiechu, ale trudno jest równocześnie uśmiechać się i krzywić. A tam, na tym końcu świata, więcej było powodów do zmartwień niż do śmiechu. Więc tylko Lacy Archer i jej upór uniosły kąciki jego ust. - Kiedy zatrudniam pielęgniarkę, zawsze sprawdzam na początku, czy jest szybka.

Lacy założyła ręce na piersi i głośno westchnęła. Ten facet był taki sam, jak szczury, przed którymi zwiąła. Nadęte ego i żadnej litości dla współpracowników, którym miażdży się stopy w pędzie do góry.

- I co, długo pan wytrzyma z tym wozem drabiniastym?- spytała, powtarzając sobie: Niedługo, niedługo, niedługo...

- Tyle, ile będzie absolutnie konieczne. - Wreszcie udało mu się ją zobaczyć. Ależ piękna! Miała krótkie jak on kruczoczarne włosy i fiołkowoniebieskie oczy. Chyba nosi szkła kontaktowe, pomyślał. Instynkt poderwał go do góry, ale kolano kazało mu się złapać krzesła.

- Pomogę panu - powiedziała, chwytając go w pasie. - Nie powinien pan wstawać.

- Nic mi nie jest - warknął, odpychając ją. Wyprostował się z pomocą laski i chrząknął z zażenowaniem.

- Skoro nie przyniesie mi pani kawy...

- Ani kanapki - dodała.

- Ani kanapki. - Był już wściekły. - To może skończymy to spotkanie, żebym mógł zająć się swoimi sprawami.

Lacy odsunęła się, wzruszając ramionami.

- Świetnie, ale burmistrz chciał coś jeszcze, chyba że ma pan zamiar znowu go czymś przerazić. - Powściągnęła cyniczny chichot i pomyślała o swoim kontrakcie. Paragraf pierwszy mówił, że każda ze stron, ona lub miasto, może odstąpić od umowy w ciągu pierwszych trzech miesięcy. Zaczęła zastanawiać się, czy nie zbierać się od razu.

- Lucy, niech pani posłucha, ja...

- Lacy, doktorze - wtrąciła. - LACY!

- Lacy, niech pani posłucha - zaakcentował jej imię, rozciągając je. - Czekam na burmistrza od pół godziny. Boli mnie kolano i jestem zmęczony. Nie jestem w nastroju....

- Co pan sobie zrobił w kolano? - spytała, zmieniając temat. Co za arogancki bufon! A ona będzie skazana na jego towarzystwo! Teraz jednak pragnęła tylko oczyścić atmosferę i znaleźć drogę do znośnej współpracy. Jednego bez wątpienia nauczyła się przez lata: że rozbuchane ego wystarczy lekko pogłaskać.

- Ja nic nie zrobiłem. - Jack zamknął oczy i zobaczył tę durną małą piłeczkę, która leciała prosto na niego. - Jakiś palant, który nie powinien w ogóle znaleźć się na polu, uderzył mnie piłeczką. - Podkreślił raz jeszcze, pusząc się: - To jego wina, nie moja. - Ściskając łaskę w prawej ręce, żeby wspomóc chore lewe kolano, odsunął się od krzesła i ruszył do drzwi. - Zatrzymam się w domu letniskowym Billingslych za miastem. Proszę powiedzieć burmistrzowi, gdzie jestem, gdyby chciał się ze mną widzieć.

- Niech pan mu sam powie - rzuciła. - Jest pora lunchu, idę na kanapkę i...

- Filiżankę kawy? - Uniósł brwi z półuśmiechem. Podziwiał ją, że tak mu się postawiła, chociaż nie przywykł do tego.

- Mrożoną herbatę ze słodzikiem i cytryną.

- I kanapkę z indykiem i sałatą.

- I ogórkiem kiszonym.

- Stawia pani?

Nie potrafiła teraz powstrzymać uśmiechu. Zachowywał się jak wygłodzony student medycyny, który prosi o jednego gryza. Zawsze takim ulegała i oddawała przynajmniej połowę.

- Założę się, że na studiach świetnie pan sobie radził.

- Jest mi pani to winna, panno Archer. - Jack wysunął się do przodu, otworzył na oścież drzwi. - Jest pani niezamężna, prawda? Nie przekonała pani żadnego naiwnego męża do przyjazdu w to nieszczęsne miejsce?

- Tak. I nie - odparła, ocierając się o niego w przejściu. Te stare budynki mają takie wąskie drzwi!

Lacy szła korytarzem w zbliżającym się do biegu tempie. Słyszała za sobą postukiwanie laski Jacka na drewnianej podłodze.

- Gdybym nie zgodził się spędzić trochę czasu w tej przeklętej miejscinie - wołał za nią - nie dostałaby pani czeku do chwili, gdy kolejny lekarz nie straci rozumu! Chyba nie stać pani na takie długie wakacje, trochę wiem o zarobkach pielęgniarek. Musiałaby pani wracać na stare śmieci i błagać o pracę. Proszę więc przynajmniej postawić mi lunch. Zwolni pani wreszcie? - Nawet w dobrej kondycji mógłby jej nie dogonić. Pędziła jak nawiedzony chart, szybszy niż wiatr. Tyle że charty to sympatyczne stworzenia. Lacy roześmiała się mimo woli.

- Ależ pan znakomicie wszystko odwraca do góry nogami. Pewnie lubi pan bajki.

- Przyznam z bólem, że znamy się kilka minut, a już mnie pani rozgryzła.

- Tak? A więc nosi pan niebieski trykot, jak przystoi prawdziwym krasnalom?

- Wszystkie pielęgniarki mnie o to pytają. - Zaśmiał się.

Lacy wypadła na ulicę pół minuty przed nim i odwróciła się. Wysoki, dobrze zbudowany, przystojny. Pewnie wykorzystywał to w pracy.

Czarował pacjentów, wabił pielęgniarki. I patrzył, jak świat pada mu do nóg. Jakie to typowe, myślała.

- Jeśli chce mi pan pokazać swoje niebieskie kalesony, musi mnie pan dogonić - rzuciła i roześmiała się, widząc zaszokowane oblicze siedzącego na ławce drobnego starszego pana.

W drzwiach małej restauracji odwróciła się i zobaczyła Jacka na jezdni. Szedł powoli, mocno kulał, bardziej, niż jej się początkowo wydawało. Laska balansowała niebezpiecznie. Za każdym razem, gdy stawiał lewą stopę, jego twarz wykrzywiał ból. Wyraźnie nie korzystał z fizykoterapii.

Kiedy Jack znajdował się w połowie drogi, Lacy siedziała już przy oknie, a kelnerka kończyła notować jej zamówienie.

- Dobrze, że jesteście - stwierdziła kobieta. - Był kłopot, jak zabrakło doktora Wishburna. - Zbliżała się do sześćdziesiątki, miała platynowe, natapirowane włosy i mocno czerwoną szminkę na ustach. Jej różowy strój już na nią nie pasował, opięta spódnica podnosiła się wysoko nad kolana. - Przyjechała pani razem z doktorem?

- Och nie! - zaprotestowała Lacy. - On tu jest tylko tymczasowo, dopóki nie znajdzie się kogoś na stałe.

- Przemknęło jej przez głowę, żeby poprosić burmistrza o możliwość uczestniczenia w wyborze następcy Jacka.

- Długo tu nie zabawi, mam nadzieję.

- Mnie by tam odpowiadało, jakby się mną zajął taki młody przystojniak. - Kelnerka przykleiła nos do szyby.

- Zawsze to przyjemniej, jeśli pani wie, o czym mówię.

- Mogę prosić o cytrynę do herbaty? - Lacy wpatrywała się w kelnerkę, która nie odrywała oczu od Jacka.

- Chciałam prosić o dodatkowy plasterek cytryny! Albo trzy lub cztery plasterki!

- Co? Tak, kochana. A co dla pana doktora?

- Hot dog. Dużo chilli i cebuli i ogórek kiszony w plasterkach. Frytki z roztopionym serem. I duża cola. Proszę dolać czekoladowego syropu, jeśli macie.

Kelnerka wsadziła do ust kawałek gumy i uśmiechnęła się.

- Już idzie.

„Sunstone Cafe” było skromną knajpką bez dekoracyjnych uduziwień współczesnej mody czy zbyt głębokiego ukłonu w stronę turystów. Stoliki dla czterech osób, oddzielone od siebie przegrodami, stały wzdłuż ściany. Krzesła z plastiku nosiły ślady wieloletniego zużycia i napraw. Chromowane stoliki i krzesła, nie poddające się tak łatwo czasowi, zapełniały środek sali. Za bufetem z barowymi stołkami mieścił się grill, widoczny dla każdego, kto chciał go zobaczyć. Lacy nie widziała natomiast szafy grającej, która musiała przecież gdzieś być, pewnie z płytami z roku 1965.

Podobało jej się tu. Wszystko jej się w Sunstone podobało, prócz...

- Zamówiła pani dla mnie kanapkę? - spytał Jack, zajmując miejsce naprzeciw niej.

- Zaraz pan dostanie - oznajmiła i schowała się za jadłospisem.

- Dlaczego mnie pani tak nie lubi, Lucy? Znamy się skądś? Porzuciłem panią kiedyś, czy co? - Z uniesionymi kącikami ust walczył o to, żeby nie parsknąć śmiechem. Dawno już nie uśmiechał się tyle razy w ciągu jednego dnia.

- Lacy - poprawiła go znowu.

- A może postanowiła pani z góry, że znienawidzi pani tutejszego doktora?

- Nie mam nic do lekarzy - broniła się. - Jednym z najbliższych mi ludzi jest lekarz, mój dziadek. Nienawidzę tego, co dzieje się z wieloma z nich z upływem czasu. - Cisnęła jadłospis na stół i spojrzała na Jacka.

- Pan się spodziewa na przykład, że zapomnę o moich siedmiu latach szkoły i dziesięciu latach praktyki i polecę po kanapkę dla pana. Tego właśnie nienawidzę. Mogę panu przygotować strzykawkę czy opatrunek, ale nie kawę i kanapkę z indykiem.

- To co? Miałem poprosić o jajka i wodę mineralną?

- Oparł plecy i wyciągnął pod stołem lewą nogę, po czym sprawdził, czy nie kopnął niechcący Lucy. Wolał, żeby go nie rąbnęła w chorą nogę ze złości, a nie mógł tego wykluczyć.

Lacy chwyciła w dłoń plastikowy pojemnik ze słodzikiem, otworzyła go z trzaskiem i wsypała dwie trzecie zawartości do swojej herbaty.

- Niech pan popracuje jako pielęgniarz jeden dzień - ciągnęła, starając się nad sobą panować. - Niech pan się przekona, jak będą pana traktować lekarze. Będą stawiać rozmaite bezsensowne żądania, oskarżać o błędy, które sami popełnili, i spodziewać się, że będzie pan czytał w ich myślach. No jak, znajomo to brzmi dla pana?

Przerwała jej kelnerka. Przyniosła dla Lacy kanapkę z indykiem i zwróciła się do Jacka:

- Dla pana zaraz przyniosę, doktorze.

- Myślałem, że to dla mnie - rzekł, kiedy kelnerka zniknęła im z oczu.

- Wie pan, że mówię prawdę. - Lacy wróciła do swojej tyrady. - Nawet jeśli nie jest pan w stanie tego przyznać.

- Czego pani ode mnie chce? Mam przeprosić za wszystkich lekarzy, którzy panią źle traktowali? - Sięgnął przez stół i chwycił plasterek ogórka z jej talerza. Powoli zanurzył go w majonezie, nie spuszczać wzroku z Lacy. A gdy wsadził ogórek do ust, jej twarz stanęła w ogniu. I wcale nie miał ochoty pozbawiać jej tej płomiennej czerwieni. Gdyby to było gdzie indziej i kiedy indziej, zabawiłby się z nią wesoło. Ale Lacy grała porządną dziewczynę z prowincji, a on był zdecydowanie z miasta. Poza tym przyjechał do Sunstone, robiąc przysługę przyjacielowi. Po co więc zaciągać tu długi?

Kelnerka zbliżała się do nich wielkimi krokami, dźwigając tacę, którą po chwili postawiła z namaszczeniem przed Nickiem.

- Dałam panu więcej czekolady, doktorze. - Promieniała z dumy. - Dokładki są za darmo, prócz czekolady.

- Jakiej czekolady?

- W pańskiej coli.

Spojrzenie Jacka nieomylnie powędrowało ku Lacy, która znowu szukała schronienia za murem jadłospisu, zza którego wydobywał się teraz cienki chichot.

- Dziękuję - powiedział, nie patrząc na kelnerkę, która odeszła, ociągając się, wyraźnie zawiedziona.

- Kazał mi pan zamówić - odezwała się Lacy zza karty.

- Skąd pani wiedziała, że to moje ulubione danie? - wycedził przez zęby, zatapiając frytkę w topionym serze. Normalny żołądek by tego nie

wytrzymał, a jego, na skutek ciągłego stresu w pracy, od lat nie funkcjonował normalnie.

Lacy odłożyła kartę dań i popatrzyła z szerokim uśmiechem na talerz tłustych frytek w tłustym serze. Jack przeżuwał je powoli. Wybrała idealnie, tego właśnie nie znosił. Wiedziała jednak, że nie zostawi ani okruszka, żeby nie poczuła się wygrana. A ona właśnie tak się czuła. Następnym razem ten facet dwa razy pomyśli, zanim wyda jej polecenie.

Kiedy Jack przepchnął przez gardło kęs hot doga, Lacy spuściła wzrok na jego ręce, zwłaszcza lewą. Nie nosił obrączki. Lekarze w jej dotychczasowym otoczeniu mieli zwyczaj nosić swoje obrączki w kieszeni, a ona wprawnie odgadywała ich stan cywilny po jaśniejszym pasku lub odcisku na palcu.

- Jest pan żonaty? - zapytała zniecierpliwiona, natychmiast tego żałując.

Jack wziął serwetkę, wytarł tłuszcz z warg i zamoczył je w czekoladowej coli.

- Jest pani zainteresowana? - spytał. Czekająca go wycieczka do apteki, i to szybko. Bał się poprosić Lacy o przysługę, bo zamiast lekarstwa na nadkwasotę mogłaby mu podrzucić trutkę na szczury.

- Chcę tylko wiedzieć, z kim mam do czynienia. - Oderwała kawałek kanapki i zamknęła oczy.

Jack wpatrywał się w jej oczy, żeby nie patrzeć na jej przeżuwające usta.

- Myśli pani, że zdradzam żonę? Bo wszyscy lekarze tak robią?

- Zdradza pan?

- Oczywiście! Najpierw pozwalałem pewnej kobiecie, zainteresowanej złapaniem lekarza, utrzymywać się przez całe studia. Oczywiście, w

międzyczasie, wskakiwałem do łóżka z każdą chętną śliczną pielęgniarką. Po dyplomie zamieniłem moją chlebobawczynię na nowszy model. Ale ponieważ jestem lekarzem, w dalszym ciągu oszukiwałem. Taka jest natura tej bestii. - Chryste, te oczy. Nigdy nie wpatrywały się w niego tak olśniewające oczy. A on wgąbiał się w nią, nie mógł inaczej.

- Czyli nie jest pan żonaty. - Zdenerwował ją ten jego skupiony wzrok, skierowała uwagę na ulicę. Burmistrz machał do nich przez szybę, pewnie chciał, żeby wyszli na zewnątrz.

- Skąd ten wniosek? - spytał Jack, przenosząc wzrok za Lacy.

Dotknęła jego palca, tego, na którym nosi się obrączkę.

- Dobra pielęgniarka nie przynosi lekarzowi kawy, potrafi za to czytać w jego myślach. - Zabrała rękę i podsunęła mu rachunek. - Spotkamy się u burmistrza, jak pan skończy. - Puściła do niego oko i zniknęła za drzwiami.

Jack zmierzył wzrokiem talerz z resztkami tłuszczu i odepchnął go ze złością. „Tylko dwa tygodnie, Jack”, mówił mu Bo Washburn. Po trzech godzinach w Sunstone miał już dosyć.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Jest mały kłopot z pańskim gabinetem, doktorze - zaczął burmistrz, zanim Jack stanął w progu. - To znaczy, jeszcze go nie ma. Możecie państwo na razie zająć gabinet doktora Washburna, bo on wyjeżdża na kilka tygodni z żoną. No w każdym razie polujemy na coś...

- Polowanie na gabinet - mruknął Jack. - A co jest w ogóle w tamtym gabinecie?

- No, wyposażenie i zapasy leków - wyjaśniał Jed Lambert z urażonym obliczem. - Doktor Washburn powiedział, że może pan z tego korzystać. To chyba dobry początek.

- Nie spodziewa się pan... - Jack urwał, zauważył furię rozpalającą się w oczach Lacy. Ta dziewczyna jest niemożliwa! -... nie spodziewa się pan, że będę pracował w tych warunkach. Proszę mi dać znać, gdy uda się panu upolować gabinet lekarski, jeżeli mnie pan jeszcze zastanie.

Burmistrz wiercił się za biurkiem, jego krzesło zaskrzypiało nieznośnie.

- Znajdziemy coś, doktorku, choćbyśmy mieli urządzić pana w ratuszu.

- Bardzo proszę nie nazywać mnie doktorkiem. - Jack nienawidził tego pozornie przyjacielskiego ciepła. - Proszę się do mnie zwracać „doktorze Sutton”.

- Dobrze, doktorze Sutton. - Stary kobiecy głos zaszczebiotał z progu. - Mam coś. - Kobieta opuściła swoje pięćdziesiąt kilo wagi na krzesło naprzeciw biurka.

Willie Pearl miała osiemdziesiąt lat i dokładnie na tyle wyglądała; miała też kręcone białe włosy i pomarszczoną, ogorzałą twarz. Tylko w oczach zachowała młodość, bystre spojrzenie, pełne ikry i blasku.

- Wynajęłam stary dom Fremontów. Jest wystarczająco duży, trzeba tylko włożyć tam trochę roboty.

- Willie Pearl była pielęgniarką doktora Washburna - przedstawił burmistrz, widząc osłupiałe twarze Lacy i Jacka. - Za dwa tygodnie wychodzi za mąż i idzie na emeryturę, ale zaoferowała się, że pomoże państwu wystartować. - Zignorował jęk Jacka i zwrócił się do Lacy:

- To może rozwiązać problem z pani mieszkaniem. Mogłaby pani zamieszkać w tamtym domu, na piętrze.

- Jesteś nową pielęgniarką? - spytała Willie Pearl.

- Lacy Archer. - Lacy poderwała się, wyciągając rękę do starszej kobiety. - Miło mi.

- Mów do mnie Willie Pearl - rzekła kobieta, witając się. - Wszyscy tak mówią, tyle już miałam nazwisk, że nikt tego nie spamięta. - Zachichotała. - Chyba z pięć oprócz tego, z którym przyszedłam na świat, a w sobotę za dwa tygodnie dostanie mi się szóste. Pokażę ci ten dom. - Skinęła głową w stronę Jacka, nie patrząc na niego. Strasznie się skrzywił na jej widok, bufon jeden. - Ten chyba też z nami pójdzie, jak ma tam pracować, prawda?

- A może tak panie pójdziecie tam, powiesicie firanki, a mnie poprosicie, jak będzie potrzebny lekarz. - Jack wyszedł z pokoju; słyszeli, jak jego laska stuka o podłogę. Był to przesadnie głośny, pompatyczny stukot.

- Doktorze, proszę zaczekać! - zawołała Lucy. Pobiegnęła korytarzem, zrównując się z nim po kilku sekundach, ale szła dalej, bo i on się nie zatrzymał. - Musimy porozmawiać.

- Będziemy mieć na to mnóstwo czasu. - Dotarł do drzwi. - Proszę mnie zawiadomić, kiedy gabinet będzie gotowy.

- Pan nie ma zamiaru nam pomóc? - rzuciła, idąc w ślad za nim na parking.

- Mam zamiar wrócić do domu i zdrzemnąć się. Potem przygotuję sobie coś lekkiego do jedzenia, wezmę prysznic, obejrzę coś w telewizji i pójdę spać. Nie mam zamiaru chwytać za szmatę i zaciągać się do brygady sprzątajacej.

- Nie chodzi tylko o sprzątanie - oburzyła się, stając między Jackiem a jego wozem. - Pana w ogóle nie obchodzi ta praca i...

- Nie zamierzam tu zapuszczać korzeni jak pani. Proszę nie oczekiwać ode mnie tego samego stopnia entuzjazmu, jaki pani towarzyszy.

- I pomyśleć, że dla czegoś takiego zostawiłam miasto - zachnęła się.

- No i po co? - Starał się precyzyjnie do samochodu, ale Lucy go nie puszczała.

- Żeby być jak najdalej od takich jak pan - rzuciła śmiało.

- Strasznie pani nudna z tymi stereotypami - zripostował. Poczerwieniała. Nachylił się i zajrzał jej w oczy. Tak, były niebieskofioletowe. Bez żadnych szkieł. Może to słońce tak świeci? - Powiem wprost. Pani problem nie ma nic wspólnego z moją osobą. To nie ja pani to zrobiłem, cokolwiek to było. - Spuścił wzrok. W złości poruszała biodrami to w prawo, to w lewo. - Jestem dobrym lekarzem, i nawet tu, na tym zadupiu, to się nie zmieni. Ale jestem tylko lekarzem, Lucy. I za chwilę

wracam zajmować się współczesną medycyną, a nie kompresami z gorczycy, które tu na pewno stosują.

Lacy zauważyła jego taksujący wzrok. Drugi raz w ciągu godziny.

- Czyli nie chce pan zobaczyć gabinetu?

- Doktorze?! - przerwał im mężczyzna w średnim wieku, wołając z szoferki pickupa. - Dobrze, że pana złapałem. - Wskoczył z wozu z brązową papierową torbą. - Nie zdążyłem zapłacić doktorowi Washburnowi, to załatwię to z panem. - Z uśmiechem wręczył torbę Jackowi. - Ucieszy się pan.

Jack bez słowa otworzył torbę i zajrzał do niej. Było tam coś wielkiego, większego od jabłek. I białego.

- Brukiew? Płacicie tu brukwiami?

- To nie zwykłe brukwie, doktorku, ale nagrodzone. Zawsze dostaję za nie na okręgowym targu niebieską wstęgę.

- A co ja mam z nimi zrobić? - burknął Jack.

- To samo, co doktor Washburn. Niech je pan ugotuje i zje. - Farmer wskoczył szybko do samochodu.

- Żona zajrzy do pana jutro z jajkami. - Pomachał do nich i odjechał.

- Ugotowane i rozgniecione z odrobiną masła nie są złe - zaśmiała się Lacy. - Moja babcia dodaje do smaku trochę boczku.

- To niech pani je da swojej babci. - Wepchnął jej torbę, która przedarła się i tuzin dorodnych brukwi potoczył się po chodniku.

- Łamie pan prawo, doktorze! - zawołał na ten widok burmistrz, schodząc po schodach ratusza.

- Brukwie nie mają prawa leżeć na ulicy? - prychnął Jack, uderzając jedną z nich laską. Poturlała się z dziesięć metrów.

- Nie wolno śmiecić, doktorze.

Jack sięgnął do kieszeni, wyciągnął pięciodolarowy banknot i zamachał nim.

- To mój mandat. A może mam zapłacić brukwiami? Co pan woli?

- Za pierwsze przewinienie kara wynosi sto dolarów, doktorze. Niech pan pozbiera te brukwie albo dopłaci mi dziewięćdziesiąt pięć.

- A można odsiedzieć? - zażartowała Lacy.

- Odpracować na rzecz miasta - odparł burmistrz. -W tym przypadku będzie to sprzątanie ulic.

Jack przeszył Lacy lodowatym spojrzeniem, pochylił się, podniósł brukiew i rzucił nią w pielęgniarkę. Lacy chwyciła brukiew i odrzuciła ją z powrotem.

- Mnie płacą pieniędzmi, doktorze. Panu, jak widać, nie, więc niech pan to lepiej zatrzyma, aż przyjedzie następny wóz z brukwią.

Jack w milczeniu cisnął brukiew do kosza na śmieci, który stał obok głównego wejścia do ratusza. Był tak zdenerwowany, że chybił celu i brukiew poszybowała do środka przez okno. Sekretarka burmistrza, Betty Pearson, która siedziała przy tym oknie, podniosła dziki krzyk.

Burmistrz zaniemówił. Lacy przeskoczyła sześć stopni i wpadła na Willie Pearl, która wołała:

- Kto to zrobił?! - Potrząsała brukwią w stronę grupki ciekawskich. - Który z was, chuligani....

Kilka osób pokazało wskazującym palcem na Jacka, kilka mruknęło:

- To ten.

Burmistrz, gdy odzyskał głos, stanął u boku roztrzęsionej sekretarki, która oblewała gorzkimi łzami swój ukochany filodendron w rozbitej donicy, i oznajmił:

- Panie i panowie, chciałbym wam przedstawić naszego nowego lekarza, doktora Jacka Suttona.

Kilka ust otworzyło się, kilka osób odsunęło się od Jacka, jakby był wcielonym diabłem. Jedna z matek schowała swoje dziecko za plecy.

- Założę się, że nikt już panu nie przyniesie brukwi - rzuciła Lacy, wychodząc na ulicę. Spojrzała na dzieciaka, który wyglądał zza matczynej spódnicy. Miał wytrzeszczone, przerażone oczy, jakby nie widział dotąd takiego przedstawienia w swoim krótkim życiu. - Ani małych dzieci.

- Dom Fremontów jest dwie przecznice na lewo - odezwała się Willie Pearl, biorąc Lacy za rękę. - Doktor niech uzgodni z burmistrzem swoją karę i spróbuje przypodobać się naszym mieszkańcom. - Migiem wyciągnęła z kieszeni mały kalkulator i podała go burmistrzowi. - Przyda się panu, żeby oszacować szkody. - Na jej twarzy zarysował się chytry uśmieszek. - Niech pan nie zapomni o filodendronie Betty. - Zrobiła ruch ręką, jakby podcinała sobie gardło. - Padł na amen.

Spacer do domu Fremontów był faktycznie krótki. Kiedy zbliżyły się do piętrowego budynku, Lacy zobaczyła, że Jack wysiada ze swojego dżipa. Twarz miał śmiertelnie bladą, kulał bardziej niż przedtem.

Niedobrze - mruknęła do Willie Pearl. Ale, jak dotąd, nic, co dotyczyło Jacka Suttona, nie było dobre, w formie ani treści. - Nie powinien pan iść na piechotę, jak pana tak boli! - zawołała.

- Dobrze wiem, co mam robić! - odkrzyknął. - Możemy się pospieszyć?

-Spiesz się panu, żeby ugotować brukwie? - zachichotała Willie Pearl. - Mam w ogrodzie trochę zieleniny, niech pan sobie weźmie i przyprawi.

Lacy miała nadzieję, że za czterdzieści pięć lat będzie dokładnie taka, jak Willie Pearl. Wyobraziła sobie Jacka za czterdzieści pięć lat. Wciąż przystojny, choć posiwieją mu włosy, ale zielone oczy może nie stracą blasku i czas nie przygarbi jego pleców. Za to nie zmieni się gorzki wyraz jego twarzy, zastygły tak na wieczne czasy.

Podeszły do Jacka.

- Cieszę się, że pan jest, doktorze - rzekła Lacy z odrobiną złośliwości.

- Miałem wybór?

- Życie jest pełne wyborów, pańskie są czasowo w Sunstone, więc niech pan je wykorzysta jak najlepiej.

- Brukiew, to miasto i ci ludzie to nie mój wybór.

Odwróciła się, żeby jej nie zmroził spojrzeniem, patrzyła na ceglany dom w stylu włoskim. Niewyszukany, ale solidny i ładny z rzeźbionym drewnianym gzymsem i wysokimi oknami. Wapienna tablica u szczytu łuku nad oknem na piętrze, tuż nad frontowymi drzwiami, głosiła: Fremont 1908.

- Całkiem dobrze się prezentuje - uznała. - Kim byli Fremontowie?

- Najpierw handlowali zbożem, potem mieli sklep żelazny - odparła stara kobieta, otwierając podwójne drzwi. W niektórych miejscach zielona farba odprysła, widać było gołe drewno, zawiasy skrzypiały. - Prawie dwadzieścia lat był zamknięty.

- Pięknie tu będzie, jak go urządzimy. - Lacy przeciągnęła lekko palcami po okiennicach.

Jack mimowolnie przyjrzał się budynkowi.

- Powinien być zburzony sto lat temu - mruknął.

- Mam nadzieję, że stać pana na lepszy pomysł - odwarknęła Willie Pearl. - Niech pan uważa - ostrzegła, kiedy wchodzili do środka. - Podłoga trochę się wykrzywiła. - Szepnęła do ucha Lacy: - Na pewno się potknie i upadnie na drugie kolano.

- Słyszałem - mruknął Jack, odsuwając wielką pajęczynę. Dębowe deski podłogi były mocno zużyte, w jednym miejscu zapadały się bardziej, w innym mniej. - Świetnie, Willie Pearl, teraz należy tylko czekać, aż nas ktoś pozwie do sądu.

- Za długo pan mieszkał w mieście, doktorku - odparła Willie Pearl. - Tutaj ludzie nie biegną do sądu z każdym wystającym gwoździem.

Jack starł grubą warstwę kurzu z parapetu i z przerażeniem popatrzył na swoją rękę.

- Nikt o zdrowych zmysłach nie zechce tu przyjść po poradę.

- To znaczy, że w Sunstone mieszkają sami szaleńcy - zaczęła uszczypliwie Willie Pearl - bo jak im czegoś potrzeba, pójdą wszędzie. Także do domu Fremontów.

- Niech pan idzie do domu, Jack, i zajmie się swoim kolanem, poczyta. Niech pan nas zostawi - powiedziała Lacy, wycierając z twarzy pajęczynę, w którą właśnie weszła. - Damy sobie radę bez pana. - Zostawiła go na progu i przeszła przez pokój. Przemierzała go krok po kroku. Widziała dziurawą podłogę i belki zwisające z sufitu, gdzieś, zdawałoby się, na nitce. Widziała brud i łuszczącą się farbę, a mimo to była zadowolona; ten dom był wyzwaniem niosącym obietnicę.

- Fantastycznie - szepnęła, zapominając, że nie jest sama.

- Żartuje pani, prawda? - spytał.

- Wciąż pan tu jest?

- Gdybym wyszedł, mogłaby mnie pani więcej nie wpuścić. A fantastyczny to może być nowy gabinet z nowym wyposażeniem.

- Ludzie nie potrzebują tu gabinetu - powiedziała Lacy. - Potrzebują lekarza. Takiego, który zaprzyjaźni się z nimi i będzie od nich przyjmował brukiew, nie ponizając ich.

- Za brukiew nie kupi pani aparatu do rentgena - złościł się. W kolanie zaczęło mu pulsować, rozboleła go głowa.

- Pan naprawdę nie rozumie? - Szukała wzrokiem Willie Pearl, która wyszła po cichu. Nie miała jej za złe, obecność Jacka świetnie to tłumaczyła. - Medycyna to nie tylko sprzęt. To...

- Muszę usiąść - przerwał jej Jack. Wypatrzył krzesło, dość solidne z pozoru, pod schodami na piętro. Wytarł je z kurzu.

Lacy milczała. Patrzyła, jak mała brązowa mysz mknie chyłkiem w dół schodów tuż za Jackiem.

- Skąd u pani ta zaciekłość? - spytał, przekręcając się na krześle. - A może jest pani zazdrosna o mój dyplom? Tak?

Mysz zatrzymała się nad jego głową. Lacy oddałaby całą tygodniówkę, żeby zobaczyć, jak mysz ląduje na jego ramieniu. Niestety, zwierzę trwało nieporuszone.

- Co pani tam widzi? - spytał, zbyt dumny, żeby się obrócić.

- Tylko mysz.

- Co? - Obejrzał się gwałtownie, widząc już tylko znikający punkt. - Co za... - Poderwał się, przewracając krzesło.

- Boi się pan myszy, doktoru? - spytał tubalnie mężczyzna, który właśnie stanął w progu. Był potężny, wzrostu co najmniej metr

osiemdziesiąt. Swoim krzepkim ciałem wypełnił całe wejście. - Zaraz się tym zajmę. - Nie mówiąc więcej, wyszedł, po czym wrócił po kilku sekundach z kociakiem w każdej ręce. - Te maluchy się z nimi rozprawią, ich matka to pies na myszy.

- Puścił kociaki na podłogę, oba z miejsca skoczyły na schody, jakby wyczuły gryzonia. - Jak się dowiedziałem, że pan się wprowadza do Fremontów, od razu sobie pomyślałem, że się przydadzą.

- Mądre ślicznoty - odezwała się Lacy, podchodząc do gościa z wyciągniętą ręką. - Lacy Archer.

- Nasza siostrzyczka - dokończył za nią mężczyzna. Wylał prawą rękę w tylną kieszeń dzinsów, zanim ją podał. - Wayne Bonham. Tutaj prawie wszyscy nazywają mnie Ham.

- Dobre imię - mruknął kaśliwie Jack, podnosząc krzesło.

- Dziękuję - rzekł Ham, uśmiechając się od ucha do ucha. Nie dostrzegł sarkazmu Jacka albo go zignorował.

- Trochę się bałem tu zajść, nie? Wszyscy gadają, jak pan walnął brukwią w Betty Pearson, prosto w okno. Ale nie jest pan chyba taki zły, jak widzę. Jestem winny doktorowi Washburnowi za ostatnią wizytę u mamy, chciałem zapłacić.

- Kotami - zgodził Jack. - Pan z kolei płaci rachunki u lekarza kotami.

- Dobry kot nie jest zły, doktorze, nie będzie pan narzekał. Po tych brukwiach Kena Howella, co pan je rzucił, bałem się przynieść pomidory, no nie? Nie są niby takie niebezpieczne jak brukiew, ale znowu dużo po nich sprzątanania.

- Czy koty mają już imiona? - spytała Lacy. Miała jednego w dzieciństwie, choć tak naprawdę był to kot jej dziadków.

- Nie, psze pani. Mam ze dwa tuziny tych małych na farmie, raczej ich nie nazywam.

- Mógłby je pan dla mnie przechować kilka dni, dopóki tu nie posprzątam?

Ham ruszył ku drzwiom zadowolony.

- Pewnie, a gdyby pani potrzebowała jeszcze parkę, pani da cynk. - Złapał kotki i zabrał je do wozu.

- Żadnych kotów - warknął Jack po jego wyjściu.

- Boi się pan, że mógłby pan rzucić nimi przez okno? - Lacy przeniosła się do drugiego pokoju, który świetnie nadawał się na gabinet. Duża, otwarta przestrzeń i mnóstwo światła wpadającego przez niezastłonięte okna.

- Dobrze pani wie, że nie stłukłem tej szyby specjalnie. - Szedł za nią i zatrzymał się w drzwiach.

Lacy robiła w myśli plany. Poznał to po jej ruchach, po tym, jak dotykała okien i obłazących tapet. Przenosiła się od ściany do ściany, obejmując wzrokiem każdy centymetr przestrzeni, tak jak on obejmował spojrzeniem każdy centymetr jej ciała. Ona natychmiast poczuła się w tej dziurze jak w domu, a miejscowi to odgadli i od razu ją zaakceptowali.

Jego świat był daleko, w jego przypadku pobyt w Sunstone zaczął się od odrzucenia. Chciał wracać do domu, tam, gdzie pasował i gdzie ludzie płacili mu za wizytę dwieście pięćdziesiąt dolarów, a nie tuzin brukwi.

- Słyszałam co innego - drażniła się z nim Lacy.

Wiedziała, że to niesławne wydarzenie zapisze się w annałach Sunstone i przejdzie do legendy. „Pamiętasz ten dzień, kiedy przyjechał nowy doktor i rzucał brukwią w okna na głównej ulicy? Sześciu mężczyzn ledwo sobie z nim poradziło. O mały włos nie zabił Betty Pearson". - To

dobrze, że nie zostanie pan tu na stałe. W tej okolicy ludzie bardzo surowo oceniają rzucanie w nich nagrodzoną brukwią.

Przez moment prawie się przejął opinią mieszkańców na swój temat, a zwłaszcza opinią Lacy. Ale minęło to równie szybko i nagle, jak się pojawiło.

- Idę do domu - rzekł i wyszedł.

- Niech pan się nie spodziewa, że sama będę tu sprzątać! - Lacy kiwnęła głową dwu młodym mężczyznom, którzy weszli do domu przez kuchenne drzwi, wnosząc sprzęt z gabinetu doktora Washburna.

- Gdzie to postawić? - spytał jeden z nich.

- Proszę to tam na razie zostawić.

Zamknęła oczy i zobaczyła w wyobraźni przychodnię, w którą zamieni się *dom Fremontów*. Było to czyste, przyjazne miejsce z domową atmosferą. Poczekalnia była pełna, lekarz stał w drzwiach z uśmiechem i wyciągał rękę na powitanie, i był to... Jack. O nie, powiedziała do siebie, mozolnie wspinając się po schodach, żeby obejrzeć swoje przyszłe mieszkanie.

Kiedy dotarła do połowy schodów, zatrzymało ją skrzyknięcie frontowych drzwi. Wychyliła się, żeby sprawdzić, czy Jack przypadkiem nie zmienił zdania. Miała taką nadzieję, chociaż wątpiła, że jest zdolny do bezinteresownego działania. Nie zdziwiło jej zatem, że zobaczyła w progu młodą kobietę z płaczącym dzieckiem. No tak...

- Skaleczył się w rękę - oznajmiła płaczliwie kobieta. - Doktora Washburna już nie ma, a ja nie chcę go ciągnąć gdzieś daleko. - Przytuliła chłopca. - Nie wiem, co robić...

- Proszę tu podejść - poprosiła Lacy.

Odkryła rękę chłopca. Miał dość paskudną ranę, która chwilowo nie krwawiła.

- Jak to się stało? - spytała.

- Właził na płot. - Kobieta pociągnęła nosem. - No i spadł.

Lacy przyjrzała się bacznie, skaleczenie nie było zbyt głębokie.

- Nic mu nie będzie, wystarczy kilka szwów.

- A gdzie lekarz? — spytała kobieta. - Doktor Washburn sam robił takie rzeczy.

- Lekarza chwilowo nie ma. I nie wiem, kiedy wróci. - Ani czy w ogóle wróci, dokończyła w myśli.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

I wtedy, znienacka, Lacy usłyszała od drzwi głos Jacka:

- Niech pani zobaczy, co jest w rzeczach doktora Washburna.

Podobał jej się ten głos, zdumiał ją spokojem. Był gładki jak tabliczka mlecznej czekolady.

- Potrzebny nam przede wszystkim jakiś antyseptyk.

- Jack zbliżył się do chłopca i mrugnął do Lacy. - Założę się, że ten młody człowiek dostanie kilka szwów, siostrze. I to takich dla dorosłych, nie dla dzieci.

- Tak, doktorze - odparła i natychmiast pobiegła do pokoju na tyłach domu.

Im więcej mówił Jack, tym mniej płakał chłopiec, aż w końcu całkiem się uspokoił. Może ten Jack Sutton, którego poznałam, to tylko pozory, myślała Lacy, wracając z pełnymi rękami.

- Na pewno nie zgadnie pani, ile lat ma nasz gość.

- Jack uniósł zabawnie brwi.

- Trzynaście... nie, może czternaście - podjęła grę, zdumiona łatwością, z jaką Jack nawiązał kontakt z dzieckiem.

- Ma sześć lat. - Jack oczyścił ranę. Jego dłonie były delikatne i zręczne. - Przysięgłbym, że Bobby ma co najmniej osiem lat. - Pochylił się i gwizdnął. - Coś ci powiem, Bobby. Nie widziałem jeszcze sześciolatka z taką raną. Takie rany mają czasem jedenasto- albo dwunastolatki.

- Ja mam sześć lat - cicho powiedział chłopiec. - Naprawdę. - Wargi mu drżały i łzy napływały do oczu, ale strach gdzieś się ulotnił. Zastąpiły go

całkowite zaufanie i podziw dla Jacka. Takie same jakie Lacy widziała w oczach pacjentów swojego dziadka.

Jack spojrzął na sprzęt, który Lacy rozkładała na czystej ściereczce.

- To nie będzie bolało - obiecał, otwierając butelkę z wodą utlenioną, bo tylko to znalazła Lacy. - Zrobi się trochę bąbelków - mówił. - Dostaniesz też lekarstwo, dzięki któremu nie będzie cię bolało, jak będę szył, ale muszę ci je wstrzyknąć. Nie martw się, nawet nie poczujesz. Jak głośno potrafisz krzyczeć? - spytał, ze strzykawką schowaną za plecami.

- Głośno - rzekł Bobby. Na widok igły o mało się jednak nie rozbeczał, w końcu zacisnął mocno powieki i czekał. Dostawał już zastrzyki od doktora Washburna, i bardzo go bolały, ale w nagrodę otrzymywał potem cukierka, a nawet dwa, jeżeli nie płakał. Pomyślał zatem, że nowy lekarz może da mu trzy, bo jest bardzo miły. Po kilku sekundach, wciąż nic nie czując, Bobby otworzył odrobinę oczy. - Kiedy mnie pan ukłuje? - spytał, wskazując na wywołujący zimny dreszcz przedmiot i kuląc ramiona.

- Już to zrobiłem - zaśmiał się Jack. - Kiedy nie patrzyłeś. No i co, dobry jestem?

- Nooo. - Bobby po raz pierwszy uśmiechnął się szeroko. - Nic a nic nie bolało.

- To teraz pokaż, jak głośno krzyczysz - poprosił Jack.

Bobby wydobył z siebie cichy, niski dźwięk.

Jack potrząsnął głową.

- Postaraj się lepiej.

Chłopiec spróbował znowu, i jeszcze raz, aż dwaj młodzi ludzie, którzy wciąż wnosili rzeczy z gabinetu Washburna, wbiegli do pokoju, by zobaczyć, co się dzieje.

- W porządku - uspokoił ich Jack. - Tylko trenowaliśmy. Czy któryś z was miał kiedyś szwy? - spytał.

- Jasne - odparł mężczyzna. - Pięć miałem, tutaj - pokazał niewielką bliznę nad lewym okiem.

- Pięć? - Jack roześmiał się. - No to Bobby cię pobije na łopatki. Będzie miał dziesięć, może nawet piętnaście. Prawda, Bobby?

- Nooo - rzekł z dumą chłopiec. - Może i piętnaście albo więcej.

Z pierwszym szwem nie było kłopotu, a kiedy Jack zabrał się do drugiego, krzyk Bobby'ego urósł w siłę i rósł tak przy każdym kolejnym szwie. Przy dziesiątym Lacy przestraszyła się, że będą się musieli zająć strunami głosowymi dziecka.

- Gotowe - oznajmił wreszcie Jack, przyglądając się swojej pracy.

- Dostanę cukierka? - spytał Bobby. - Doktor Washburn zawsze dawał mi cukierki. Dwa, jak nie płakałem. Ale on mi nie zakładał szwów. To może trzy...

- Są w szufladzie w szafie z lekami! - zawołał jeden z młodych ludzi.

- Masz szczęście - stwierdził Jack. - Dostaniesz cztery, bo muszę ci zrobić jeszcze jeden zastrzyk.

- Co się panu stało? - spytał Bobby, kiedy zauważył łaskę Jacka.

- Uderzyła mnie piłeczka do golfa - odparł Jack.

- Miał pan szwy? - Chłopiec wyciągnął rękę po cukierki, jego oczy błyszczały.

Jack przytaknął z uśmiechem.

- Całe mnóstwo.

- Naprawdę?! - zawołał Bobby, wytrzeszczając oczy z podziwu. - Tyle co ja?

- Nie żartuj, Bobby. Ty masz najwięcej - skłamał. -I krzyczałeś lepiej niż ja. - Spojrzał na matkę Bobby'e-go, przyjazny uśmiech rozjaśnił mu twarz. - Miał wszystkie szczepienia? Przeciwtężcowe też?

Kobieta kiwnęła głową.

- Doktor Washburne dbał o nas. - Dodała jeszcze nieśmiało: - Bardzo żałujemy, że odszedł na emeryturę, ale cieszymy się, że pan jest z nami...

Wsparłszy się o dawny sklepowy blat, Jack odwrócił twarz, zanim wypłynął na nią rumieniec, i notował jakieś zalecenia na kartce, którą znalazł w swojej torbie. Potem polecił Lacy przygotować strzykawkę z antybiotykiem.

- Ma pani świetnego dzieciaka - rzekł, wręczając kartkę matce Bobby'ego. - Szybko wyzdrowieje. Za tydzień proszę przyjść na zdjęcie szwów.

Bobby nawet nie drgnął przy zastrzyku i na własnych nogach szedł za mamą do wyjścia. Przy drzwiach obrócił się i wyciągnął rękę do Jacka.

- Dziękuję, doktorze... A jak pan ma na imię? - Jack - odparł, ściskając drobną dłoń.

- Dziękuję, doktorze - rzekł Bobby, wybiegając za matką.

Zamknawszy drzwi, Lacy zauważyła:

- Dobra robota.

- Co?

- Dobrze pan słyszał, doktorze. - Cieszyła się, że pracuje u boku dobrego lekarza, nawet jeśli jest on mało sympatycznym człowiekiem. W końcu poza pracą nic ich nie łączyło.

- Proszę mi opowiedzieć o swoim kolanie - poprosiła Lacy, zaczynając porządki.

- Washburn wsadził mi nowe. - Jack opadł na krzesło. Był kilka tygodni po operacji, a cierpienie z tym związane uzmysłowiło mu, że to, co sam robi innym ludziom, boli jak diabli. Teraz był trzydziestosześcioletkiem z protezą i miał większe zrozumienie dla męki swoich pacjentów.

- Operował pana przyjaciel? Jest dobry?

- Po mnie najlepszy.

- Czyli jest pan ortopedą. - Przycupnęła obok Jacka i zaczęła mu masować kolano, wiedząc, że odrobina uwagi i dobry masaż działają lepiej niż pigułka przeciwbólowa. - A już myślałam, że pediatrą.

- Lubię dzieci, ale... - Nie dokończył

. Ależ ona ma ręce! Sprawiają cuda!

- Mama kazała to przynieść - przerwała im jakaś dziewczynka, otwierając skrzypiące drzwi. Niosła wiadro, mop i butelkę środka czyszczącego. - Zaraz przyjdzie posprzątać, tylko Bobby zaśnie.

- Przyniosłam krzesła. - Matka Bobby'ego stanęła za córką niemal w tej samej chwili. Wciągnęła przez drzwi dwa krzesła, zobaczyła Lacy na kolanach przed Jackiem i chciała się wycofać. - Takie stare kuchenne krzesła... Jakoś nie miałam serca ich wyrzucić, bo wciąż są dobre - mówiła szybko, rozglądając się sceptycznie dokoła. - No to pójdę do samochodu i przyniosę jeszcze dwa.

- Wynoszę się stąd - powiedział Jack do Lacy.

Bez przerwy ktoś się tu kręcił. A wszyscy tacy przyjacielscy, zbyt przyjacielscy jak dla niego. Kiedy się podnosił, kolano przeszył taki ból, że Jack wypuścił laskę, zachwiał się i padł z powrotem na krzesło. Jazda z Chicago do Sunstone była za długa dla kogoś w jego stanie. Potem prawie bez przerwy był na nogach. Czuł nieodpartą potrzebę odpoczynku.

- Czy doktor Washburn zostawił jakieś środki przeciwbólowe? -
Stęknął, zły, że się poddaje.

- Aż tak boli? - spytała.

Jack miał pobladłą twarz. Wystarczyła jej ta odpowiedź.

- To miejsce przyprawia mnie o ból głowy.

- Większy niż ten, o który pan przyprawia wszystkich w tym mieście?

- Lekarstwo, proszę.

- Takie, żeby panu ulżyło, czy żeby pana zważyło z nóg? Jeśli mogę wybrać, radzę to drugie.

- Niech mi pani da te pigułki! - krzyknął, wycierając z twarzy zimny pot.

Kiedy Lacy wróciła z dwoma tabletkami, Jack siedział na schodach z wyciągniętymi przed siebie nogami, pogrążony w głębokim śnie.

W ciągu kolejnych godzin, kiedy pochrapywał na schodach, wpadło do nich kilku mieszkańców Sunstone, a każdy przyniósł coś, co miało pomóc ogarnąć albo urządzić gabinet i mieszkanie Lacy. Wieść o nowym lekarzu rozeszła się migiem po mieście, a jeszcze szybciej rozniosła się informacja o stanie domu Fremontów. Gdy Jack otworzył oczy, ujrzał tuzin zupełnie obcych osób, które szorowały podłogę, myły okna i ściany i ustawiały meble.

- Co jest? - spytał nieprzytomnie.

Tuż przed nim klęczała na czworakach Lacy ze szczoteczką do zębów, którą czyściła szpary między deskami.

- Sprzątamy panu gabinet - odparła. - Aha, całe miasto już wie, że pan chrapie.

- A może jeszcze się ślinię? - spytał, dochodząc do siebie.

- Nie widziałam, ale jeśli tak jest, na pewno ktoś to zauważył. - Zachichotała. - Jak pańskie kolano?

- Lepiej - skłamał, obserwując ożywiony ruch. Prawdę mówiąc, ból wzmagął się. Jack myślał nawet o tym, żeby zadzwonić do Bo i spytać go, czy przypadkiem nie wsadził mu tego cholernego kolana na odwrót.

- Cieszę się - powiedziała Lacy. Wyciągnęła do niego dłoń ze szczoteczką. - Chce pan trochę poczyścić?

Jack odepchnął jej rękę, chwycił się balustrady i próbował się podnieść.

- Jeśli naprawdę ma pani zamiar urządzić przychodnię w tej ruderze, czemu nie wynajmie pani przyzwoitej firmy sprzątajacej? - Zrobił krok, noga w kolanie ugięła się i zjechał na schody. - Niech pani na nich spojrzy. Im się wydaje, że to jakaś impreza. - Wskazał na ludzi, którzy na przemian sprząтали, żartowali i jedli. - Niech się napychają pieczonymi kurczakami i bawią wiadrami, jak lubią, tylko bez pani i nie tu, bo takie spoufalanie się obróci się przeciw pani i... - Potrząsnął głową i wypuścił powietrze. To nie jego gabinet, ale i tak się wkurzył. - Pani stwarza precedens, który nie spodobałby się żadnemu lekarzowi. - Wyprostował nogę. Czas na gorącą kąpiel. Dom, w którym się zatrzymał, odwiedzali tylko mądry weekendowi goście, którzy wiedzieli, że wiejskie powietrze po dwóch dniach zaczyna zatruwać organizm mieszczucha. Umieszczenie go tam było jedynym dobrym pomysłem burmistrza, ponieważ dom ten miał wszystkie wielkomiejskie wygody. I nie było w nim myszy.

- To pańska opinia - rzekła Lacy, wzruszając ramionami. - Ma pan do niej prawo. Ale coś pan traci.

- Zapłatę w kotach?

- Przyjaźń. Ludzi, dla których jest pan człowiekiem, nie tylko obiektem medycznym.

- Obiekt medyczny?

- No, tak jak na przykład obiekt seksualny - zaśmiała się. - Nie powie mi pan, że pacjenci widzą w panu coś więcej niż lekarza.

- Zdarzały mi się pacjentki, które widziały we mnie obiekt seksualny - bronił się, przygotowując się do kolejnej próby podniesienia się na nogi.

Zanim zdążył się podciągnąć, chwyciła go w pasie.

- Co teraz? - spytała.

- Łazienka, potem do domu.

- Nikt jeszcze nie posprzątał łazienki. Chyba że pan...

- Niech mi pani da jakieś cholerne wiadro i zaprowadzi mnie tam - warknął. - I rękawiczki. Nie będę czyścił toalety bez rękawiczek. - W łazience nie będzie musiał przynajmniej oglądać tych wszystkich radosnych sprzątaczy. Zostawi też za drzwiami Lacy. - Nie możemy iść szybciej? - spytał cicho. - Gapią się na nas.

Lacy wciąż trzymała go w pasie, ale palce ją już paliły. On zaś wolał nie ryzykować dłuższego intymnego kontaktu.

- Jasne, jeśli pan pobiegnie - rzekła.

Jack miał nadzieję, że drzwi łazienki są grube, a zamek dobrze trzyma. Tylko czy to dostateczna zaporą przed siostrą Archer?

Lacy zerknęła w stronę łazienki. Jack siedział tam od pół godziny. Nie wiedziała, czy zemdlął z bólu, czy tak pilnie pracuje. Z dziesięć razy przeszła obok niby mimochodem.

- Jack! - zawołała w końcu. - Nic panu nie jest?

W odpowiedzi usłyszała coś między burknięciem i słowem, które z trudem przeszłoby jej przez gardło. W niczym nie przypominało to: "na pomoc". Doszła więc do wniosku, że Jack znalazł tam sobie kryjówkę.

Spojrzała na zegarek. Pomyślała, że czas podać mu tabletkę przeciwbólową.

- Jack! - zawołała znów. - Niech pan mnie wpuści, przyniosłam lekarstwo.

W pokoju, jak na sygnał, ucichły wszelkie hałasy, wszystkie oczy powędrowały w jednym kierunku. Przez długą chwilę nikt się nie poruszył. Nikt chyba nie oddychał.

- Tabletki przeciwbólowe - wyjaśniła zmieszana. - Na jego kolano. Miał operację.

Kiedy wypowiadała ostatnie słowo, nikt już na nią nie patrzył.

- Nie dba pani o mój wizerunek - rzucił opryskliwie Jack, otwierając drzwi, i wciągnął ją do ciasnego pomieszczenia.

- I tak pan wyjeżdża. - W łazience było duszno, nie pomogło otwarte nad umywalką małe okno. W powietrzu wisiał ciężki zapach środka czyszczącego. Jack był purpurowy i zlany potem. Jego elegancka koszula wisiała równusieńko na oparciu krzesła.

- To co? - odparował. Wypatrzywszy smużkę na lustrze, wytarł ją ściereczką. - Nie chcę, żeby myśleli...

- Dalej jest plama - przerwała mu, wskazując na róg lustra, w które wbiła wzrok, byle nie patrzeć na Jacka.

- Nie jestem lekomanem i nie życzę sobie, żeby tak myśleli - ciągnął. - Nawet jeśli tu nie zostanę... - Spojrzał na lustro. - Gdzie? Nie widzę.

- A ja widzę - rzekła. Jack był wielkomięjskim blefiarzem. Założyłaby się o tygodniówkę, że zależy mu na przyjaźni tych ludzi. - Proszę wziąć tabletkę, żeby pan mógł jakoś kuśtykać, jak pan już stąd wyjdzie.

- Wcisnęła mu papierowy kubek z wodą i rozejrzała się. - Muszę pana pochwalić.

Jack siadł na chromowanym krześle, które Willie Pearl zaniósła tam wcześniej.

- A co pani myślała? Że nie potrafię wyszorować łazienki? Na studiach pucowałem toalety, żeby się utrzymać, i nie tylko - dodał. - Byłem dozorcą przez cztery lata.

Lacy wachlowała się dłonią.

- Umywalka... - Umywalka była umyta do połowy, z jednej strony lśniąc biała, z drugiej po prostu brązowa. - Dokończę to mycie.

- Ilu ich tam jest? - spytał, zamknął oczy i oparł głowę o ścianę.

- Około dwudziestu, i pewnie jeszcze kilkoro ma wpaść - odparła. - Zostało mnóstwo jedzenia, chyba zamierzają pracować do wieczora. - Instynktownie odgarnęła mu z czoła mokry kosmyk. - Jak się pan czuje? - spytała. - Tylko szczerze.

Kiedy go dotknęła, natychmiast otworzył oczy. Jego twarz pozostała kamienna, zniknęła jednak gdzieś protekcyjna mina.

- Poczuję się lepiej, jak skończę tę robotę - powiedział. Jego twarz rozjaśnił powolny, zaraźliwy uśmiech.

- Ja to zrobię - upierała się. Przez tę ciasnotę czuła jego ciepło. - Pan niech idzie się położyć. Ktoś przytargał w międzyczasie łóżko.

- I po co im lekarz, który ledwo chodzi, śpi na środku pokoju, chrapie i ślini się przez sen?

Lacy wyrwała mu szczotkę, wydusiła z butelki odrobinę cytrynowej pasty. Rozpaczliwie potrzebowała jakiegoś zajęcia, żeby nie rozpuścić się w tym ukropie.

- Jeszcze trochę i będzie jak nowa - powiedziała jakimś dziwnym głosem.

Jestem zbyt zmęczony, myślał Jack. Potem przypomniał sobie regułę: Nie romansować w pracy. Wykluczało to lekarki, pielęgniarki, terapeutki, a także pacjentki. Bo jeśli taki romans źle się kończy, przekreśla to także zawodowe relacje. Lacy była mu potrzebna w pracy i to, co mu chodziło po głowie, powinien posłać do diabła.

- Nie zamierza pani wrócić tam i porządzić? - spytał, odbierając jej szczotkę.

Lacy chrząknęła i wolno odwróciła się do niego.

- Willie Pearl tam rządzi. - Odsunęła się od Jacka, który tylko się z tego ucieszył. - I to tak, że wszystko chodzi jak w zegarku. - Cofnęła się jeszcze, była teraz przyklejona do drzwi. - Ale może powinnam jednak zobaczyć, co się dzieje...

Jack przesunął się znowu ku umywalce, uważając, żeby nawet nie musnąć Lacy.

- Mogłaby pani pobiec do mojego dżipa i przynieść mi jakieś czyste ubranie z torby? W końcu będę musiał stąd wyjść, chciałbym wyglądać trochę lepiej niż w tej chwili.

- Pewnie - odparła Lacy szczęśliwa, że ma wymówkę, i wybiegła.

Jack zamknął drzwi na klucz, przepelniony chęcią, by walić głową w mur. Wszystkie jego związki były wygodne i krótkie. Faktem jest, że nie

spotkał dotąd kobiety, z którą chciałby być dłużej. Spodziewał się więc tylko kilku miłych chwil, i tyle też otrzymywał.

Potem przyszło mu wspinać się po drabinie kariery. Miał szczęście znaleźć się we właściwym miejscu i czasie. Szaleństwa i rozrywki były zabronione. Odniósł sukces. I kropka, koniec historii.

No niezupełnie, bo Lacy całkiem nieświadomie była zdolna zmienić jego poglądy.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

W końcu Jack wychynął z lśniącej czystością łazienki, sam też lśniąco czysty, w niebieskich dżinsach i białej koszulce. Po domu wciąż kręcili się obcy. Do dwudziestki, o której wspomniała Lacy, doszło ich jeszcze dziesięcioro.

- Zje pan coś, doktorze?! - zawołała Willie Pearl z odległego kąta. W jednej ręce ścisnęła szczotkę, w drugiej udko kurczaka. - Mamy tyle żarcia, że całe miasto się wyżywi.

Jack objął wzrokiem blat, który dopiero co służył do badania Bobby'ego. Teraz był to zastawiony suto stół. Spojrzał na podłogę i na ściany. Wszystko było czyściusienkie, gotowe do malowania. W pomieszczeniu, które przeznaczono na poczekalnię, stało już kilka rozmaitych krzeseł, na podłodze leżał pleciony dywanik, a w oknach wisiały zasłonki. W rogu zaś zagnieździło się stare biurko, pewnie dla Willie Pearl, bo stała już na nim jej mosiężna tabliczka z nazwiskiem.

Odmawiając jedzenia, Jack przecisnął się przez tłum do gabinetu, licząc na to, że znajdzie tam spokój. Znalazł Lacy, siedziała na starej skrzynce.

- Jutro przyjdą dokończyć gabinet - oznajmiła. -A pojutrze moje mieszkanie.

- Sama pakuje się pani w całodobową służbę. -Przysunął sobie stare dębowe krzesło i usiadł. - Mam nadzieję, że dobrze pani płacą.

- Połowę tego, co zarabiałam do tej pory. A jeśli chodzi o pracę, byłam na intensywnej terapii, więc dla mnie to nic nowego. - Westchnęła ciężko. - Niech pan się nie boi, nie oczekuję od pana wiele.

- I słusznie - rzekł obojętnym tonem. - Nie jestem wiejskim lekarzem.

Na studiach nie ma specjalizacji: medycyna wiejska.

- Mój dziadek tak nie myślał - powiedziała cicho. - Mówił, że do głowy mu nie przyszło, żeby po studiach nie wrócić do domu.

- I co z tego ma?

- Więcej, niż pan myśli. - Lacy uśmiechnęła się. Wiedziała, że Jack jej nie zrozumie, że traci czas, próbując mu to wyjaśnić.

- Dlaczego pani tak na tym zależy? - spytał, rozcierając kolano. Może znowu przyjdzie jej do głowy, żeby mu pomóc?

Rzeczywiście wyciągnęła rękę i zaczęła masować jego kolano. Było to całkiem naturalne, zrobiłaby tak każdemu choremu. Chociaż jej palce nie czułyby przy tym tych przyjemnych igielek.

- Dziadek miał wspaniałe życie, wciąż się nim cieszy. Kiedy przeszedł na emeryturę, jego praktykę wykupiła duża firma medyczna. Teraz ludzie, których dziadek znał z imienia, dzieci, które przyjmował na świat, siedzą godzinami w sterylnej, bezosobowej poczekalni, czekając na lekarza, który ich nie zna i którego specjalnie nie obchodzą. Mieszkańcy Sunstone chcą przed tym uciec i za to ich cenią. Wiem, jak wygląda czas pracy wiejskiego lekarza. Potrafię stworzyć tu małą przychodnię, jakiej pragną.

- To czemu nie została pani lekarką?

Zaperzyła się.

- A co? Pielęgniarstwo to mało? Wszystkim dobrym pielęgniarce zadaje się to pytanie. - Była dotknięta.

Jack położył rękę na jej dłoni i szepnął:

- Przepraszam, nie chciałem...

- Chciał pan. Wszyscy tacy jesteście.

- Znowu te stereotypy - rzekł, zdejmując jej rękę z kolana.

- Jeśli pasują...

- Nie uważam, że straciła pani czas.

- To przez babcię - powiedziała. - Była pielęgniarzką dziadka, podziwiałam ją. Myślałam o medycynie, ale jestem pielęgniarzką. Zawsze to czułam. Mogę dać moim pacjentom coś, czego nie da im ani pan, ani doktor Washburn, ani mój dziadek.

Jack uśmiechnął się ze zrozumieniem. Kobieta z misją i pasją. On już od dawna nie miał innej misji niż zdobywanie kolejnych szczebli kariery. A jego pasja zginęła na najniższym szczeblu tej drabiny.

- Na pewno się pani uda - rzekł spokojnie. - Gdybym mógł... - O mało co nie zaoferował jej pomocy, czym prędzej jednak połknął te słowa.

Lacy mimo to usłyszała tę niemą ofertę i powściągnęła wybuch cynicznego śmiechu. Ludzie tacy jak Jack nie potrafią pomagać, dają najwyżej jakieś sugestie albo wypisują czek.

- Tak, ja to rozkręcę. Oni tego chcą, ja tego chcę, musimy tylko znaleźć lekarza, który myśli tak samo. - Wyprostowała się i spojrzała na zegarek, podświetlając tarczę. Dochodziła dziesiąta. - Trzeba pana zawieźć do domu, sam pan nie da rady.

- Może pani pojedzie i zostanie u mnie, tu na razie nie ma pani warunków - zaproponował odruchowo. - Mam dwie sypialnie, na pewno marzy pani, żeby wymoczyć się w gorącej kąpieli.

- Wystarczy mi umywalka - powiedziała Lacy. - A skoro ktoś przyniósł mi łóżko, wypada z niego skorzystać. - Rzeczywiście marzyła o odrobinie luksusu, ale nie w jego domu. Poza tym co pomyśleliby mieszkańcy Sunstone? Przez krótki moment wyobraziła sobie, że pije u boku Jacka

poranną kawę, i wywołało to w niej nieziemskie emocje. Ale na co jej nieziemskie emocje na tym etapie życia?

- Jak pani woli. - Uniósł ramiona. W końcu tylko by mu przeszkadzała.
- Żeby mi pani potem nie wymawiała, że nie okazałem tradycyjnej wiejskiej gościnności.

Pięć minut później Jack wyszedł z Hamem, a Lacy obserwowała przez okno, jak wdrapuje się do pikapa. Gdyby się odwrócił, pomachałaby do niego. Nie odwrócił się.

Łazienka była rzeczywiście czysta, stwierdziła po chwili, szukając jakichś niedociągnięć. Rozebrała się i zamoczyła sprezentowany przez kogoś ręcznik w umywalce, wytarła się nim, czując, jak zimna woda spływa po jej skórze. Miło byłoby wziąć gorącą kąpiel, myślała, a jeszcze milej, gdyby Jack polewał ją wodą. Szkoda, że nie jest w jej typie.

Zazwyczaj sypiała nago, teraz wciągnęła za duży podkoszulek i parę skąpych majtek i poczłapała do łóżka, które stało na środku pokoju. Pościel lekko pachniała mydłem i bzem, materac był wygodny, a poduszka idealnie pasowała do jej głowy. Czego więcej mogła pragnąć?

Podciągając kołdrę pod brodę, nareszcie poczuła spokój i zamknęła oczy. Im szybciej minie czas, tym prędzej zniknie Jack, myślała. Nie wiedziała tylko, czy to dobrze, czy źle.

Światło zajrzało przez zasłonki o wiele za wcześnie. Lacy miała naturę sowy, nigdy nie wpełzała z łóżka przed dziesiątą. Zazwyczaj pracowała na zmianie od trzeciej do jedenastej w nocy, i to weszło jej w krew. A więc wstawała o dziesiątej, wypijała dwie filiżanki kawy, brała prysznic i dopiero wtedy była mniej więcej gotowa stanąć twarzą w twarz ze światem.

Sunstone działało chyba według innego zegara, słyszała już za drzwiami głosy ludzi, którzy radośnie wstają razem z kurami i zakasują rękawy.

Wzorowa etyka pracy, myślała, zagrzebując się tak, że spod kołdry wystawał tylko czubek jej głowy. Miała nos pod grubą kołdrą, niemniej jednak wyczuła aromat kawy, bogaty i orzeźwiający. Zwykle piła kawę rozpuszczalną, aromat świeżo parzonej kawy o poranku miał w sobie jakiś prowincjonalny urok, mimo piekielnie wczesnego poranka.

Mościła się chwilę, zamknęła znów oczy, ale gdy jej umysł oczyszczał się z porannej mgły, a zapach kawy i świeżych bułeczek wypełnił pokój i niemal na siłę wyciągał ją z jej kryjówki, zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Ktoś naruszył jej prywatność. Uniosła kołdrę, zobaczyła, że jej koszulka podwinęła się aż do piersi. Ten, kto przyniósł jej śniadanie, miał szansę zobaczyć więcej, niż chciała publicznie prezentować. Bo do tego wszystkiego miała na sobie czarne, fatalnie skąpe figi.

- Halo - odezwała się niepewnie. - Kto tu jest?

- Wynajęta pomoc - odparł Jack, wchodząc z pomieszczenia, które miało zamienić się w gabinet.

Kołdra Lacy znalazła się pod jej nosem.

- Dlaczego?

- Pracuję tu. Zapomniała pani? - Podał jej kubek z kawą. - Może być czarna?

Skinęła głową, wyciągając rękę. Śniadanie w łóżku, serwowane przez Jacka, zrobiło na niej większe wrażenie niż kawowy aromat.

- Ktoś pana wezwał? - spytała.

Nie powie jej przecież, że pomyślał o niej, ledwie się obudził. Nie chciał się do tego przyznać sam przed sobą.

- Nie ma to jak wstać o zaraniu dnia i zabrać się do pracy - odparł. - Ludzie, którzy pracują na zewnątrz, na pewno to potwierdzą.

Jeśli Lacy nie śpi w szklach kontaktowych, myślał, to znaczy, że naprawdę ma takie niebieskofiołkowe oczy. W życiu czegoś podobnego nie widział, był tym równie poruszony, co jej czarną bielizną. Tak, facet nie może liczyć na lepszy początek dnia. Nie chciał tylko dzielić się tym fantastycznym uczuciem, więc z żalem przykrył ją szczelnie, kiedy jeszcze spała. Całe szczęście. Ledwie kilka minut później zjawiała się Willie Pearl z narzeczonym, Palmerem Roarkiem, oraz kawą i świeżymi bułeczkami. Chodzili wokół łóżka Lacy na palcach, ale Jack dojrzał to spojrzenie Palmera, prawdziwe świadectwo powiedzonka: stary, ale jary. Palmer mógł sobie mieć tę swoją osiemdziesiątkę, ale miał też dobre oko.

- Bułeczkę? - spytał, myśląc, że chętnie wskoczyłby do łóżka Lacy. Pożarł już dwie bułeczki, a były niemałe. Zwykle do lunchu wystarczały mu trzy kawy, tego ranka umierał z głodu. - Co to właściwie za imię „Lacy”? - zagadnął, przysuwając krzesło.

- Trenuje pan poranne uprzejmości? - Nie była przyzwyczajona do śniadania w łóżku ani do konwersacji w trakcie śniadania. Ani do tego, że ktoś łązi po jej sypialni.

- Nie, jestem ciekaw. - Czy to brak wprawy w rozmowie, czy Lacy go tak peszy? Może jedno i drugie.

- Moja babcia miała na imię Lacy, i moja mama, u nas to rodzinne - wyjaśniła. - A skoro już zna pan moje drzewo genealogiczne, zechciałby pan ewentualnie zostawić mnie samą, żebym mogła wstać z łóżka? - dodała, choć podobał jej się tego ranka.

- Po co? Nie ma pani chyba nic, czego bym już nie widział. - Jego twarz stała się obojętną maską.

- Nic? - spytała, jeszcze mocniej się opatulając.

- No dobra, te czarne majtki to coś nowego. - Na jego czole pojawiła się zmarszczka, ale oczy mu się tym razem śmiały. - Dobrze pani w czarnym. Co prawda, tak kuso...

- Proszę wyjść! - krzyknęła. Nie mogła się wynurzyć z pościeli w jego obecności. Nie była nawet w stanie podnieść kubka do ust, tak bardzo drżały jej ręce. -I niech nikt tu nie wchodzi, dopóki się nie ubiorę.

Jack z wolna odwrócił głowę.

- Nie byłem tu dzisiaj pierwszy. Przyjęła pani nieświadomie całą defiladę.

- Słyszałabym. - Zamknęła powieki i ujrzała łańcuszek mieszkańców Sunstone, który przesuwa się przed jej łóżkiem. Matki zasłaniają dzieciom oczy, żeby uchronić je przed nieprzyzwoitym widokiem, mężczyźni zaś przystają dłuższą chwilę, zdejmują kapelusze i salutują. - Nie wierzę - powiedziała niepewnie.

- No to skąd się wzięła kawa i bułeczki? Zapewniam, że to nie ja je przyniosłem. - Zabierając laskę, Jack otworzył drzwi. - Zrobiła pani furorę. Może powinna to pani opisać i wysłać do pisma dla pielęgniarek - pod tytułem: Jak wywrzeć wrażenie na pacjentach w łatwy i niezawodny sposób.

- Wyjdz! - krzyknęła po raz wtóry.

Po wyjściu Jacka wyskoczyła natychmiast z łóżka i przez dziesięć minut krążyła po pokoju, starając się pozbierać myśli. Ależ tupeciarz. Spurpurowiała na myśl o tym, co widział, i co może widzieli mieszkańcy Sunstone. Była tak zawstydzona, że miała ochotę stanąć pod prysznicem i

czekać, aż wstyd z niej spłynie. Niestety, miała dostęp jedynie do letniej wody i gąbki, dość, by się umyć, za mało, żeby zapomnieć o Jacku i jego słowach. Wciągnęła dzinsy na różowe tym razem majtki, których zdecydowanie nie miała zamiaru nikomu pokazywać.

- Można wejść! - zawołała niepewnie, stając w drzwiach. Farba, którą malowano dom od zewnątrz, była jeszcze mokra. Pomalowano także okiennice, dobierając kolor najbliższy temu, który zastosowano w 1908 roku.

Na widok Lacy tuzin osób odwróciło się i podniosło radosny krzyk.

- O, nie - rzuciła, zatrzasnąjąc drzwi.

- To jego zasługa - poinformowała Willie Pearl. Była na tyłach domu, robiła inwentaryzację w rzeczach doktora Washburna oraz listę niezbędnych uzupełnień. Cała była lawendowa: miała lawendowe streczowe spodnie, lawendową bluzkę w kwiaty i lawendową opaskę na włosach. Pod pachę wcisnęła podkładkę do pisania. Sunęła do Lacy z zaaferowaną miną.

- Kiedy weszliśmy tu z Palmerem, byłaś caluteńka zakryta. Myślę, że to on cię zakrył, stał nad tobą z czerwoną twarzą i wybałuszał oczy, jakby nigdy nie widział takiej ślicznotki. Ale nikogo nie wpuścił, kłamie. A może chce cię wkurzyć. - Willie Pearl położyła podkładkę na biurku i pomaszerowała do drzwi. - Jeśli chcesz znać moje zdanie, chodziły mu po głowie całkiem niedoktorskie myśli. - Pchnęła drzwi, a następnie z pędzlem w dłoni zmieszała się z gromadą radosnych malarzy.

Lacy wychyliła się chyłkiem przez okno. Jack wpatrywał się w drzwi frontowe. Pewnie czekał, aż ona wyjdzie i znowu zrobi z siebie kompletną idiotkę. Willie Pearl ma rację, myślała. On faktycznie chce ją wkurzyć.

Dziesięć minut później Jack wsadził głowę przez drzwi.

- Zdaje się, że ktoś idzie założyć telefon - oznajmił.

Lacy wciąż nie przekroczyła progu. Jackowi zrobiło się głupio. Przestał tak żartować, kiedy zrobił matureę, i nie wiedział, dlaczego właśnie Lacy obudziła w nim tę młodzieńczą skłonność. Może to jej niewinny optymizm? Jej pełna entuzjazmu twarz? Cokolwiek to było, rozbudzała w nim coś, dla czego nie było miejsca w jego życiu. - Ojciec Bobby'ego chce pani coś pokazać, wpadnie koło południa. - Wchodząc do środka, poczuł taki ból w kolanie, że chwycił się świeżo malowanej framugi. Lacy nie zdążyła przyjść mu z pomocą. -Świetnie, no świetnie - warczał, odrywając zieloną dłoń od lepkiego drewna. Kolano znowu się pod nim ugięło, wypadła mu laska, ale tym razem Lacy była szybsza i złapała go w talii.

- Jest pan pewny, że wszystko dobrze z tym kolaniem? - spytała, pomagając mu dojść do łóżka.

- A skąd mam niby wiedzieć? - Przyjął półleżącą pozycję. - Boli jak diabli, tylko to jest pewne.

- Chce pan tabletkę? - spytała.

- Nie.

- Zastrzyk?

- Nie, do diabła.

- Podłożyć panu poduszkę?

- Niech mnie pani zostawi.

Lacy usiadła na krześle i zaczęła rozwiązywać sznurówkę w jego bucie,

- Co pani robi? - oburzył się.

- Chcę zobaczyć pańskie kolano. Skoro pan nie wie, co się z nim dzieje, muszę sprawdzić. - Ściągnęła sportowy but z nogi Jacka, a potem

skarpetkę. - Tylko zamknę drzwi, żeby nikt pana nie podglądał - dorzuciła, zrywając się z krzesła. Po paru minutach wróciła do niego z gazą, bandażem elastycznym, maścią, pełną strzykawką i mnóstwem innych rzeczy, które udało jej się znaleźć. Ze względu na zmienny nastrój Jacka wolała być przygotowana na różne niespodzianki.

- Jest coś, o czym powinnam wiedzieć, jeśli chodzi o historię pańskiego zdrowia? Jakież alergie, choroby zakaźne, zaburzenia osobowości, seryjne morderstwa?

- Nie życzę sobie, żeby mnie pani badała - oznajmił. - Mam lekarza.

- Ale jego tu nie ma.

- A pani się na tym zna?

Pochyliła się nad łóżkiem, żeby rozwiązać Jackowi drugi but, i rzuciła go na podłogę.

- Chce pan, żebym poszukała Hama i spytała, czy ma jakieś medyczne doświadczenie? - Położyła obok niego cztery cukierki. - Jak pan będzie grzeczny, to pan je dostanie na koniec. Zechce pan teraz zdjąć spodnie, czy mam panu pomóc?

- Proszę ich nie dotykać! - zawołał, chwytając za guzik nad zamkiem błyskawicznym.

Lacy zabrała jeden cukierek i usiadła.

- Teraz będziemy udawać - powiedziała. - Udawajmy, że pan jest lekarzem, a ja pacjentem, i zachowuję się dokładnie tak, jak pan. Co by pan zrobił?

- Zawołałbym pielęgniarzkę. - Spojrzał z tęsknotą na swoje buty na podłodze. Rzuciłby się po nie, gdyby mógł. Ale był taki słaby.

- No to jestem. Spróbujmy współpracować. - Jej pacjenci zwykle nie mieli siły protestować, doceniali jej troskę. Ale Jack był lekarzem i postępował zgodnie z powiedzeniem: Lekarze to najgorsi pacjenci.

- Albo?

- Albo zawołam Willie Pearl, żeby pana przytrzymała.

Kręcąc głową z rezygnacją, Jack opadł na poduszkę i zamknął oczy.

- Niech pani je zdejmie - rzekł z niechęcią. Wiedział, że trzeba zbadać kolano, a nie miał ochoty sam mu się przyglądać. - Ale jeśli choćby przemknęło pani przez myśl, żeby zrobić mi krzywdę tą igłą, obiecuję, że następnym razem zwołam całe miasto na pani intymny spektakl.

- Willie Pearl widziała pana nad moim łóżkiem...

- Jestem lekarzem - bronił się, ale i tak purpura upokorzenia zalewała go od karku w górę.

- To czemu pan nie popatrzy na swoje kolano?

- Niechże pani sprawdzi... - westchnął. - Ale szybko, spieszę się.

- Dokąd? W Sunstone nie ma kursu golfa, doktorze, już to sprawdziłam. - Sprawdziła też, że Jack ma wąskie biodra i długie nogi i w ogóle wszystko na swoim miejscu.

- Napatrzyła się pani? - warknął.

- Należało mi się chyba w rewanżu.

- Tylko że pani robiła z siebie przedstawienie dla ogółu.

- Spałam i nie byłam naga - odparowała, ciskając jego dzinsy na podłogę.

Podobała mu się taka zarumieniona ze wstydu i złości. Poczynając od wąskiej ścieżki na jej dekolcie, czerwień rozprzestrzeniała się na niej z siłą ognia, absolutnie nie do ukrycia.

- Na pewno nie nosi pani czegoś takiego pod fartuchem - rzekł i chrząknął.

Wsadziła drugi cukierek do kieszeni.

- A ja założę się, że się pan tego nie dowie. A teraz proszę się zamknąć i zgiąć nogę w kolanie.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jack krzyknął z bólu.

- Obchodzi się pani z pacjentami w dość oryginalny sposób - zauważył.

- Większość moich pacjentów bardziej pomagała sobie i mnie, nie to co pan - wyraziła się grzeczniej, niż zamierzała. - Nikt tak nie marudził.

- A ja, pani zdaniem, marudzę? - Czuł niewyraźny wprost ból.

- Za moment straci pan kolejnego cukierka. - Lacy pomogła mu unieść i wyprostować nogę.

- Z każdym dniem jest lepiej - skłamał Jack, bo z każdym dniem ból narastał, a im bardziej bolało, tym krócej ćwiczył i robiło się z tego błędne koło.

- A ja uważam, że słabo się rusza - uznała Lacy.

- Pan w ogóle ćwiczy? - Jej policzki wciąż były zaczerwienione. - Liczył pan, że się polepszy, jak będzie pan myślał, że jest lepiej.

- Nie zdaję się na żadne głupie wizualizacje - spierał się z nią. - Wiem, co trzeba robić.

- Może doktor Sutton wie, ale Jackowi Suttonowi wydaje się, że powinien być ponad takie drobiazgi jak ból.

- Dotykała zaczerwienionej skóry wokół jego kolana. Zaczynały mu się trząść ręce, zbliżał się atak mdłości.

Lacy podniosła wzrok i popatrzyła na Jacka. Był blady i spocony, a jego oczy wpatrywały się w nią z absolutnym zaufaniem. A może jej się tylko wydawało?

- Czemu nie pokazał pan tego lekarzowi przed przyjazdem do Sunstone? Ta infekcja nie zaczęła się z dnia na dzień, pańscy koledzy w mieście...

- Nie pani interes - przerwał.

Dotykała go delikatnie, a on odbierał to jak wbijanie gwoździ w żywe ciało.

- Miał pan nadzieję, że się rozejdzie? Przyzna pan...

- Niczego nie przyznaję! - Posłał jej zboląły uśmiech. - Ale dziękuję.

Dziadek kazał jej badać pacjenta wszystkimi zmysłami. Palce znajdują czasami to, czego nie widzą oczy, zdarzało jej się nawet zamykać oczy przy takiej okazji. Jej palce czuły twardą, gorącą opuchliznę.

- Strasznie zaognione. - Nachyliła się i badała teraz bliznę wzrokiem. Tak jak się spodziewała, w miejscu największej opuchlizny znajdował się ledwie widoczny guzek. Na szczęście Lacy nie zapomniała rad dziadka, które zresztą nigdy jej nie zawiodły.

- Został jeden szew, jest zainfekowany.

- Niemożliwe! - Dlaczego się nie domyślił, symptomy były tak oczywiste. - Niech pani go wyjmie.

- Skóra wokół szwu zarosła...

- To proszę znaleźć doktora Washburna i poprosić, żeby to zrobił. - Swoją drogą, diagnoza Lacy sprawiła mu ulgę. Koniec czarnych scenariuszy o kolejnej operacji, które snuł przez ostatnie godziny.

- Doktor Washburn wyjechał na wakacje - przypomniała mu. - Musi pan mi zaufać albo zrobić to sam.

Potrząsnął zdecydowanie głową.

- Zaufać pani ze skalpelem...

Nie zdążył dokończyć. Lacy wysmarowała mu kolano środkiem antyseptycznym, zrobiła maleńkie nacięcie i wyciągnęła czarną nitkę. Następnie nacisnęła lekko, żeby wydusić ze środka zainfekowany płyn, i na koniec triumfalnie pokazała nitkę Jackowi. Tylko że on mocno zaciskał powieki. Lacy wyjęła cukierek z kieszeni i położyła go obok dwóch pozostałych.

- Jak będzie pan grzeczny, kiedy będę bandażować, dostanie pan wszystkie cztery.

Wysmarowała kolano maścią z antybiotykiem i przyłożyła opatrunek z gazy. Jack uspokajał się powoli.

- I co, wciąż ma pani za złe tym okropnym lekarzom z miasta, że chcą praktykować w klinice z prawdziwego zdarzenia? - spytał, podnosząc wreszcie powieki.

- Nie. Tutaj trzeba ciężko harować, a zapłatą jest głównie satysfakcja. Większość ludzi nie nadaje się do tego, pan chyba do nich należy. Proszę tylko nie potępiać tych, którzy chcą to robić. - Rzuciła ostatnie spojrzenie na dzieło swoich rąk. - Jeśli pozwoli mi pan zająć się pańskim kolaniem kilka razy dziennie, dostanie pan dodatkowy przydział cukierków i nie powiem Bobby'emu, jaki z pana dzieciak.

- Sam to zrobię - sprzeciwił się niezbyt stanowczo. - Teraz ból prędko minie.

- Nie może pan na to biernie czekać. Już pan się zaniedbał, pan - chirurg ortopeda.

Myślał, że skończyła, ale gdzieżby! Zaczaiła się, czekając na jego reakcję.

- Pan, który zna konsekwencje.

- Zaczę ćwiczyc dziś po południu - odparł, nadstawiając uszu, kiedy poruszała się wdzięcznie po skrzypiącej podłodze. - W tamtym domu jest wanna z masażem, to mi też dobrze zrobi.

Lacy rzuciła mu dzinsy.

- Ale, jak pan wie, nie zastąpi ruchu. - Pozbierała swoje manatki i schowała je w szafce. - Na pańskim miejscu wypisałabym sobie antybiotyk! - wołała z drugiego pomieszczenia.

Jack słuchał jej porad jeszcze przez parę minut, aż przyszło mu do głowy, że przyjemnie jest dla odmiany być pacjentem.

Brygada robocza stworzona przez usłużnych mieszkańców Sunstone zaczęła się kurczyć dopiero koło południa. Wielu z nich udało się do domu na lunch. Kilku umówiło się w knajpcę, a pozostali urządzili piknik pod klonami przed domem Fremontów. Jack spędził całe przedpołudnie przy biurku Willie Pearl, z nogą na krześle, i przyglądał się bez słowa. Dobrze, że chociaż tu siedzi, myślała Lacy, przeciskając się obok niego już chyba po raz dwudziesty w ciągu godziny. Wszyscy go widzieli, nawet jeśli ograniczał się do nieruchomej obecności.

- Panno Lacy?! - zawołał od drzwi Mike Ross. - Mogę panią prosić na minutkę?

- Oczywiście. - Wyszła do Mike'a i poszła z nim do jego półciężarówki.

- Stary jest, i na oko nie wygląda najlepiej, ale całkiem dobrze chodzi - mówił Mike, mając na myśli połatany samochód, który miał pomarańczowo-czerwoną maskę, drzwi w kolorze zardzewiałej żółci i brązowy korpus.

- Ładny - skomentowała Lacy, nie wiedząc, dlaczego Mike pokazuje jej tego grata.

- Trochę podrzuca, ale za to nie pali za dużo. - Zaśmiał się zadowolony i podniósł maskę. - Rano wymienilem olej i dałem nowe świece. A Walt Connors, ten, co ma garaż, dał nowe opony, bo też miał dług.

- Cieszę się, że ma pan taki samochód - powiedziała Lacy.

- Nie, proszę pani, to pani ma ten samochód, naprawilem go dla pani.

- Dla mnie? - spytała. - Na pewno może mi pan go oddać? - Prowadziła dotąd tylko nieduże osobowe wozy, a ta półciężarówka ze trzy takie pomieściłaby w środku.

- Mam nowy, ten mi tylko rdzewiał. A pani się przyda, no i odpłacę się za to, co zrobiliście wczoraj z doktorem dla Bobby'ego.

- Naprawdę nie mogę - protestowała. Kabina kierowcy znajdowała się tak wysoko, że jej podłoga sięgała talii Lacy. - Zresztą nie wiem, czy wdrapałabym się tam bez drabiny.

- Niech panią o to głowa nie boli - zaśmiał się znowu Mike. - Nauczy się pani podciągać. A przecież potrzebuje pani auta, jak ktoś panią wezwie.

- U nas nie będzie wizyt domowych - oznajmił Jack, stając w drzwiach.

- Nikt się tego po panu nie spodziewa. Ale panna Lacy w razie potrzeby do nas przyjedzie.

- Na pewno przyjadę, Mike, i bardzo dziękuję. - Wyciągnęła rękę po kluczyki.

Dwadzieścia minut później Lacy odbywała jazdę próbną po ulicach Sunstone i kilku bocznych drogach, a Jack siedział sam, nasłuchując dźwięku silnika, który to zbliżał się, to oddalał. Ból w kolanie ustępował, zmniejszało się też zaczerwienienie. Ale gdy Jack krążył po pokoju i

wyglądał przez okno, poczuł nowy ból, którego nie dało się uśmierzyć tabletką.

- Nie spodziewałam się, że pana jeszcze zastanę -powiedziała Lacy, wynurzając się z cienia.

- Właśnie wychodzę - skłamał. Nie chciał wychodzić, nie mając pewności, że Lacy wróci ze swojej wyprawy cała i zdrowa. Za każdym razem, kiedy mijala dom Fremontów, oswajając ciężarówkę, tkwiący w nim szowinista myślał, że Mike Ross mocno przesadził. A z drugiej strony, poznając Lacy coraz lepiej, przekonywał się, że Lacy podola wszystkiemu, da sobie radę z lewarkiem i z nim. - Do jutra pewnie nikt już nie przyjdzie. - Wskazał telefon na biurku. - Nareszcie mamy połączenie ze światem.

- Czekał pan na mnie - stwierdziła. - Myślał pan, że będzie mnie pan musiał połatać po wypadku. - Wiedziała, że jej zaprzeczy, chociaż wolałaby, żeby przytaknął, byłoby przecież przyjemniej, gdyby trochę go obchodziła.

- Tak, to prawda. Czekam, ale na należną mi fizykoterapię.

Lacy uśmiechnęła się szeroko. Nie spełnił jej oczekiwań dosłownie, ale niech mu będzie.

- Zdejmie pan sam spodnie, czy znowu ja mam to zrobić?

- Przepraszam, że przeszkadzam, doktorze, panno Lacy... - Ham Bonham wyłonił się z pomieszczenia na tyłach domu i stanął tuż za Lacy. - Kuchenne drzwi były otwarte i... - Wbił wzrok w podłogę, nerwowo ściskając czapkę z daszkiem. - Nie chciałem przeszkadzać, tym bardziej że mieliście właśnie... - Zakasłał, upuścił czapkę i pochylił się, żeby ją podnieść.

- Siostra Lacy miała mi właśnie pomóc w ćwiczeniach - wymamrotał Jack. - Czy kuchenne drzwi nie mają klucza?

Ham spojrział na Jacka i znowu spuścił wzrok.

- Nie miały przez ostatnie dziesięć lat, ale mogę się postarać, jak pan sobie życzy.

- Będę wdzięczna - odparła Lacy.

Małe miasteczka są może bezpieczne, ale ona mieszkała w końcu sama i nie wyobrażała sobie, że każdy, o każdej porze dnia i nocy będzie mógł do niej zajrzeć. - I to jak najszybciej. - Zobaczyła, że Ham się martwi. Jego solidna klatka unosiła się z wysiłkiem, jego psie oczy posmutniały.

Jack także to spostrzegł.

- Źle się pan czuje, Ham? - spytał.

- Chodzi o moją matkę, doktorze. Jest...

- Gdzie ona jest? - przerwał Jack. Ham podniósł w końcu głowę.

- Pomoże jej pan?

- Proszę ją wprowadzić. - Jack odwrócił się i ruszył do gabinetu.

- Doktor Washburn zawsze przychodził do domu - odezwał się Ham, spuszczając wzrok. - Moja mama ma takie szczególne kłopoty.

- Kłopoty? - spytała Lacy. - Jakie? - Przygotowywała się do myśli, że odbędzie tę wizytę sama, skoro Jack wypowiedział się jasno na ten temat.

Ham pokiwał głową i uniósł ramiona.

- Zaraz po lunchu dostała strasznych bóli. Mnie to zawsze przeraża, a ona za nic nie wyjdzie z domu. Tylko siedzi.

- Gdzie? - spytał Jack.

- W fotelu, ogląda seriale.

- Gdzie ją boli? - powtórzył pytanie Jack, zniecierpliwiony.

- Tego nie mówi. - Ham zaczął się wycofywać. - Może coś z tych, wie pan, kobiecych spraw... Doktor Washburn zawsze wiedział, jak jej pomóc.

Nasz dom jest trzy kilometry na północ od miasta, cały czas prosto. Nazwisko jest na skrzynce na listy. Byłbym wdzięczny, gdyby pan pojechał zaraz. Jak ją boli, robi się nie do zniesienia. Wstawię panu za to dobry zamek, jeszcze dzisiaj, jeśli pan chce.

- Zamek może być - odparł Jack. - Bo kotów u nas dostatek.

Lacy uśmiechnęła się, mimo że dobrze usłyszała sarkazm w głosie Jacka. W każdym razie wybierał się z domową wizytą, wbrew swoim zapewnieniom. Może jednak czuł trochę duszę prowincjusza?

- Pańskim wozem czy moim? - spytała.

Pani Lola Gertruda Bonham faktycznie oglądała serial, kiedy Jack i Lacy zajechali przed jej niepomalowany płot, i tak dobrze słyszeli każde słowo filmowego dialogu, jakby siedzieli przed telewizorem.

- Ciekawe, czy to jakiś problem ze słuchem? - zauważył cierpko Jack, wydostając się z wozu Lacy.

- Dobrze, że od najbliższego sąsiada dzieli ją przynajmniej pół kilometra - Lacy zaśmiała się, idąc za nim po schodkach.

Dom był czysty i schludny. Meble miały pewnie około pół wieku. Krzesła i kanapę pokrywały kwieciste narzuty i poduszki. Lola Gertruda również wyglądała tak, jakby czas zatrzymał się dla niej na późnych latach pięćdziesiątych.

- Mamo! - zawołał Ham, przekrzykując telewizor. - To nowy lekarz, przyjechał cię zbadać!

Nie odpowiadała.

- Trochę ja ponosi, jak się mocno wciągnie - wyjaśnił Ham. - Ogląda ten serial od pierwszego odcinka, od 1962 roku.

Lacy podeszła do Loli Gertrudy i ujrzała puste opakowanie po pomidorowych chipsach. Tuż obok leżało niepełne pudełko waniliowych wafli, trzy papierki po batonach, dwie puste puszki po gazowanym napoju, miska, prawie już opróżniona, prażonej kukurydzy i czekające jeszcze na swoją kolej ciastko.

- Pani Bonham! - krzyknęła kobiecie do ucha. -Przyjechaliśmy z doktorem, żeby panią zbadać!

Kobieta była słusznej postury, co zresztą nie dziwiło, kiedy się już znało Hama. Nie była jednak otyła. Przypominała syna nie tylko budową i wzrostem, miała podobne oczy. Jej cera była porcelanowa i gładka, co pozwalało określić jej wiek co najwyżej w przedziale między sześćdziesiątką a setką. Pachniała mocno talkiem dla dzieci i wodą kolońską.

Podniosła wzrok, uśmiechnęła się i przystawiła do ucha zwiniętą w trąbkę dłoń.

- Mów głośniej, słabo słyszę! - huknęła.

- Nie myślała nigdy o aparacie słuchowym?! - zawołał Jack do Hama.

- Ma ich całą szufladę, ale mówi, że z aparatem jest za głośno. - Ham też krzyczał. W tym momencie w programie nastąpiła przerwa na reklamę, która była dwa razy głośniejsza niż film. Ham musiał teraz ryknąć z większą siłą. - Jak coś jej się nie spodoba, nie ma sposobu, żeby zmienić jej zdanie!

Lacy zaczęło już dzwonić w uszach. Zauważyła, że ceramiczny wazon ze sztucznymi kwiatami nad telewizorem wpadł w wibracje i postukując o ścianę wysyła własne fale dźwiękowe.

- Mogłaby pani przyciszyć telewizor?! - zawołała, nachylając się ku pani Bonham.

- Za nic w świecie, młoda damo - zjeżyła się Lola Gertruda. - Wszyscy tu wiedzą, że nie należy mi przeszkadzać, jak oglądam moje seriale.

- Seriale?! - krzyknął przerażony liczbą mnogą Jack.

- Po tym są jeszcze dwa - odparł Ham. Podeszedł do małego stolika ze szklanymi bibelotami, które świetnie zbierają kurz, i wyciągnął szufladkę. Był w niej woreczek pełen nowych pomarańczowych zatyczek do uszu.

- Doktor Washburn zawsze przynosił swoje, ale trzymamy coś na wszelki wypadek.

Jack z wdzięcznością wepchnął sobie do uszu zatyczki i podał dwie Lacy.

- Nie wiem, czy wytrzymam do końca! - zawołał.

- Proszę mówić głośniej, doktorze! Z tymi zatyczkami człowiekowi się zdaje, że krzyczy.

Ham wykonał identyczny gest, co jego matka, przyłożył dłoń do ucha, potrząsnął głową i wzruszył ramionami.

- Cholera! - wrzasnął Jack, wyciągając zatyczki.

- Słyszałam, doktorze! - zagrzmiała Lola Gertruda.

- W naszym domu takie słowa są niedopuszczalne!

Jack zakręcił się i zobaczył na ekranie telewizora napisy końcowe. Stwierdził, że nie może stracić takiej okazji, chwycił pilota i wyłączył głos.

- Gdzie panią boli? - spytał, przekazując pilota Lacy.

- Doktor Washburn zawsze przychodził po filmie! - wrzasnęła Lola Gertruda, choć telewizor na szczęście już nie ryczał.

Jack przesunął jej przekąski na stoliku, robiąc miejsce dla swojej lekarskiej torby.

- Pani Bonham...

Lola Gertruda odwróciła od niego głowę.

- Może powinniśmy przyjść później... - zaczęła Lacy, chwytając torbę Jacka. - Za minutę zacznie się następny film...

Jack wyrwał jej torbę.

- Jesteśmy teraz i teraz się nią zajmiemy - rzekł dwa razy głośniejszym głosem niż zwykle. - Przepraszam - dodał zaraz.

- Proszę zabrać stąd Hama, a ja rozmówię się z jego matką.

- Ale... - zaczęła protestować Lacy, lecz zamknęła usta, widząc minę Jacka. - Jak pan sobie życzy. Jak będę potrzebna, proszę krzyknąć - rzekła, wychodząc.

- Pani Bonham - Jack zwrócił całą uwagę ku pacjentce. - Co pani dolega? Gdzie panią boli? - spytał tubalnie.

- Tam gdzie zawsze.

Czekał chwilę na dalsze wyjaśnienia, a kiedy ich zabrakło, podjął:

- To znaczy gdzie?

- Doktor Washburn wiedział bez pytania. - Lola Gertruda zmieniła pozycję, z jej ust dobyło się głębokie beknięcie, mające swe źródło w czeluściach jej żołądka.

- Czy doktor Washburn dawał pani lekarstwo na niestrawność? - spytał.

- Jakiś płyn z kredy, ale nie biorę tego paskudztwa.

- Wypatrzyła pilota na kredensie po drugiej stronie pokoju, zaczęła się podnosić.

- Proszę się nie ruszać - polecił Jack. - Chcę posłuchać pani płuc i sprawdzić parę rzeczy, zanim pani wstanie. Dobrze?

- Mój serial się zaczyna.

- Zaczeka parę minut.

Lola Gertruda osunęła się w wielkim stylu.

- Byle szybko.

Jack czym prędzej otworzył torbę i wyjął stetoskop.

Miał pecha. Do stetoskopu uczezione były czarne stringi Lacy, dojrzał je w tym samym momencie, co Lola Gertruda.

- Ham! - krzyknęła przeraźliwie pacjentka, podrywając się z fotela. - To zboczeniec! Na pomoc! Ham!

Kiedy Lacy i Ham przybiegli z kuchni, ona stała już na środku kanapy i darła się wniebogłosy:

- Zboczeniec! Zboczeniec! Zobacz, co mi tu pod nos podtyka!

Lacy spojrzała na Jacka, który stał obok fotela, usiłując odczepić jej stringi, które własnoręcznie przywiązała do stetoskopu. Był bardzo zakłopotany.

- Niech pani zejdzie, nim pani spadnie i zrobi sobie krzywdę - poprosiła Lacy, dusząc się ze śmiechu. - I niech się pani uspokoi.

- Mama! - zawołał Ham. - Co on ci zrobił?

W odpowiedzi Lola Gertruda beknęła jeszcze głośniej niż za pierwszym razem, po czym powtórzyła to w innym tempie.

Jack bez słowa wcisnął stetoskop do torby i pomaszerował do wyjścia. Kiedy Lacy pobiegła za nim, znalazła go wspartego o jej ciężarówkę.

- Jack, jeśli chodzi o te majtki...

- Doktorze, niech pan zaczeka! - wołał z ganku Ham, machając do nich czarnymi stringami. - Zapomniał pan... - Przybiegł do nich i podał mu majtki.

- Ja tam jeszcze nie widziałem takiej kuracji, ale mama mówi, że po pana wizycie przeszło jej szybciej niż po wizycie doktora Washburna. Bardzo panu dziękuję, naprawdę.

Znowu zagrział telewizor. Lola Gertruda ozdrowiała.

- Wpadnę i zamontuję ten zamek, jak tylko przygotuję mamie podwieczorek - oznajmił Ham, wsadzając majtki w rękę Jacka. Potem obrócił się i pospieszył do domu, pogwizdując.

W drodze do przychodni w szoferce półciężarówki nie padło ani jedno słowo.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Przecież nie machał jej pan tym przed nosem - odezwała się w końcu Lacy. Wciąż była zawstydzona i przekonana, że wieść o bieliźnianym ataku Jacka dotrze do miasta szybciej niż jej bohater.

- Jeśli jeszcze kiedykolwiek będę zmuszony oglądać pani majtki, proszę zadbać o to, żeby miała je pani na sobie - odparował.

Mówił cicho, tak cicho, że Lacy nie wiedziała, czy się nie przesłyszała, a nie miała ochoty prosić go o powtórzenie. Mimo wszystko zaczerwieniła się i czuła, że serce bije jej szybciej.

- I niech będą czarne, w czarnym pani do twarzy.

Kiedy wysiadł, zamknął się w gabinecie.

Lacy była skonsternowana, ponieważ Jack nie sprawiał wrażenia człowieka, który za chwilę wybuchnie gniewem. Szybko nauczyła się zgadywać jego nastroje, ale teraz było jakoś inaczej. Zachowywał się, jakby ją uwodził. Czyżby wymyślił sobie taki sposób na spędzenie wygnania w Sunstone? Jej wstyd zamienił się w jednej chwili we wzburzenie. Jest taki jak wszyscy. I po co się oszukiwać? Żeby o nim nie myśleć, zapatrzyła się na pracujących przy domu ludzi. Przyszli, jak poprzedniego popołudnia, i jak wtedy robili wrażenie szczęśliwych, że tam są, i przeświadczonych, że robią coś ważnego. Podniosła blok do szlifowania i wysłuchała instrukcji Willie Pearl, co i gdzie ma z nim zrobić.

- Przejdzie mu - powiedziała Willie Pearl kilka godzin później. - Chociaż może nie, w końcu nic o nim nie wiem.

- Pamiętam, że Willie Pearl zawstydziła mnie kiedyś w ten sam sposób - odezwał się Palmer Rourke. Nakładał właśnie porcje jedzenia na dwa talerze, a był tak szczodry, że starczyłoby tego dla czterech.

Lacy posłała mu uśmiech, czekając na dalszy ciąg opowieści - po pół minuty zdała sobie sprawę, że nie będzie żadnego dalszego ciągu, bo Palmer zaniósł swoje talerze na schody i zabrał się do jedzenia.

- Trochę małomówny - zauważyła, zwracając się do Willie Pearl.

- Gdzie tam! A ludzie gadają, oj, gadają. Są pewni, że to były twoje majtki, bo Lola Gertruda nie zmieściłaby w nich nawet swojej połowy. Pytanie tylko, skąd się tam wzięły.

- To teraz te majtki są głównym tematem rozmów? Uważam... - zaczęła, ale nie miało znaczenia, co ona uważa. Każdy miał już swoje zdanie. - Jestem bardzo zmęczona - dokończyła bez sensu. - Idę do drugiego pokoju i nie wrócę, dopóki nie odpocznę.

Tak też zrobiła. Udała się do najodleglejszego pomieszczenia w tym domu, najciemniejszego kąta, i usiadła na skrzynce. Najbardziej odpowiadała jej teraz samotność w ciemności.

Nic z tego.

- Przyniosłem kurczaka - odezwał się raptem czyjś szept.

- Jesteś pewny, że chodzi ci tylko o kurczaka, Jack?

Widział jedynie niewyraźny zarys jej sylwetki. Sunął po omacku z tacą w jednej ręce i laską w drugiej.

- Nie ukrywam, że ja też wolę pieczoną fasolę i ciastka czekoladowe.

- Daj spokój. Myślisz tylko o seksie.

- Chcesz megafon? - Zachichotał Jack, klucząc między pudłami i szafkami. - Jestem pewny, że wszyscy czekają na szczegóły. - Nareszcie ją

znalazł i opadł na drewnianą skrzynkę naprzeciw niej. - Obawiam się, że znając detale naszej wizyty u Loli Gertrudy, tego mogą nie zdzierżyć. Ale ja chcę się tylko z tobą podzielić skromnym posiłkiem - oznajmił, nabierając na widelec kiszoną kapustę. - Spróbuj. Świetnie się komuś udało.

- Założę się, że gdyby to wyszło ode mnie, zrobiłbyś to od razu, tu i teraz.

- Mogę najpierw zjeść kurczaka? Pyszny. Chrupiąca skórka, nie za tłusty. - Ugryzł kawałek udka i podał je Lacy. - Moja matka takiego nie robiła.

Lacy odsunęła jego rękę.

- Obudź się, to nie ja cię wykorzystałem i rzuciłem.

- Wcale tak nie było - broniła się.

Wziął do ręki polane czekoladą ciastko, ugryzł i podsunął jej.

- Masz. To polecenie lekarskie. Wyleczy cię ze wszystkich chorób.

Odepchnęła go i wstała.

- Nikt mnie nie rzucił... nie całkiem.

- Niech zgadnę. Pracowałaś nad tym, żeby złapać w małżeńskie sidła jakiegoś lekarza, a on tymczasem chciał zaliczyć cały personel pielęgniarstwa.

- Wsadził resztę ciastka do ust i otworzył butelkę wody mineralnej. - Mam rację?

- Nie - oświadczyła. Jej złość skierowana na Jacka zmieniła cel i Lucy przypominała sobie jedną z najgłupszych pomyłek swojego życia. Parła wówczas do przodu w największą emocjonalną klęskę, jakiej doświadczyła, a do tego najbardziej żenującą. - Nie cały personel. Mieliśmy pięciu pielęgniarzy i tych akurat nie tknął.

- Wyszłaś za niego?

- Jasne, że nie.

- To znaczy...

- To znaczy, że przyłapałam go z moją...

- Najlepszą przyjaciółką - skończył Jack.

Podał jej kolejny kawałek kurczaka, tym razem przyjęła go.

- Wszyscy o tym wiedzieli. - Ugryzła kęs i stwierdziwszy, że jej smakuje, ogryzała dalej kurzą nogę.

- Ty też?

Wymruczała coś niezrozumiale, nie przerywając jedzenia.

- Nie tego od ciebie oczekuję, Lacy. - Uświadomił sobie, że chciał od niej tak wiele, że nie mieściło się to w jego wyobraźni.

- Żadnego seksu? - udało jej się nareszcie wykrztusić między dwoma gryzami.

- Oho! - odezwała się Willie Pearl, stając w progu. - To prawda. Urządzili sobie tu prawdziwą orgię.

- Jeśli chodzi o orgię, to wyłącznie wielkie żarcie - odparł Jack. - Wracaj do nich i powiedz, że nie będę podrzucać im tematu do plotek dwa razy dziennie, na dzisiaj muszą im wystarczyć czarne stringi.

- Jak ci się to udało? - spytała Lacy, nie zwracając uwagi na Willie Pearl.

- Niby co?

- Jak to ze mnie wydusiłeś? Nikomu nie mówiłam... - Nie powiedziała nawet dziadkom, przed którymi nie miała tajemnic. - Jak to wykorzystasz?

- Co? - Cieszył się, że mu zaufała. Tak bardzo odbiegało to od atmosfery pierwszych chwil ich znajomości, że poczuł się jakoś wyróżniony.

- Będiesz teraz rozpowiadać, jaka ze mnie idiotka, albo szantażować mnie, jak będziesz czegoś potrzebował?

- Nic.

- Co: nic?

- Nic z tym nie zrobię. Przecież mi się zwierzyłaś z nadzieją, że zatrzymam to dla siebie.

Lacy zajadała kiszoną kapustę.

- Przykro mi bardzo z powodu tych majtek - zaczęła po chwili. - Nie spodziewałam się... to znaczy myślałam, że znajdziesz je, zanim... Chciałam ci to wyjaśnić, ale zamknąłeś się...

- Przysnąłem. - Sięgnął po kolejne ciastko. Wzięła od niego ciastko i polizała czekoladowy lukier.

- I nie jesteś wściekły?

Lacy i lukier, tego było mu za wiele nawet po ciemku, bo ciemność sprzyja wybujałej fantazji. Wlepił niewierzące oczy w pieczoną fasolę.

- Wściekły? Teraz całe miasto uważa mnie już nie tylko za brutalnego miotacza brukwią, ale też za zbrodnicę. Z tego powodu miałbym się wściekać?

- Słuchajcie - przerwała im znów Willie Pearl. - Potem będzie czas na całowanie i bara-bara. Dzwoniła pani Johns, od dwóch godzin ma nieludzką czkawkę. Chce, żeby pan wpadł i zamachał przed nią tymi majtkami, może wtedy jej przejdzie. - Stara kobieta zachichotała diabelsko i oddaliła się.

Lacy uśmiechała się od ucha do ucha.

- Głowę dam, że spiskują, jak nas posłać do wszystkich diabłów.

- Albo przyjmują zakłady, co wykonamy na bis - roześmiał się Jack. Podniósł się, pomasażował kolano, wykonał kilka skłonów i przeciągnął się na

koniec. Ból kolana naprawdę ustępował, dzięki Lacy, ale ten drugi zakotwiczył się coraz głębiej. Też za sprawą Lacy.

- Jak twoja noga?

- Jeszcze nie jestem gotów odstawić laskę i tańczyć, jeśli o to pytasz. - Spojrzał na resztkę brzoskwiнового placka i postanowił oszczędzić go dla Lacy.

- Ale ciężko ci to przyznać.

- Co?

- Że pomógł ci ktoś, kto nie jest lekarzem.

- Lacy, skończ z tym. To jakaś obsesja. Poza tym... - Przeszył go kłujący ból. - Czas na mój antybiotyk.

- I coś na ból? Potrząsnął głową.

- Nie. Przestałem pozytywnie myśleć, i dlatego wróciłem.

Lacy wstała i wyciągnęła do niego rękę.

- Powinieneś iść do domu, wymoczyć się w gorącej kąpieli i położyć do łóżka.

- Tym razem muszę się z tobą zgodzić. - Chętnie poprosiłby ją, żeby mu towarzyszyła. Musiał stoczyć ze sobą ciężką walkę, żeby zachować to dla siebie.

W poczekalni wszyscy byli zajęci pracą, pokrywali właśnie ściany drugą warstwą farby. Gabinet został już wysprzątnięty, przygotowywano teraz drewnianą podłogę do malowania.

Lacy zaczęła ścierać farbę z parapetów, a Jack udał się do domu.

- Doktor coś mizernie wygląda! - zawołała tubalnie Willie Pearl. - Może lepiej jedź za nim i zobacz, czy nic mu nie jest.

Wszystkie oczy równocześnie zwróciły się na Lacy, a ona załapała się rumieńcem.

- Wziął lekarstwo i ma się położyć.

- Czy to prawda, że namawiał Lolę Getrudę, żeby włożyła te czarne majtki?! - zawołał ktoś. - Słyszałem, że był strasznie namolny.

- Nie, to nie tak - wtrącił ktoś inny. - On ją tylko spytał, czy jej się podobają. To był chyba prezent dla...

- Słyszałam, że gonił ją dokoła pokoju.

- Nieszczęsna Betty Pearson wciąż taka nerwowa po tej brukwi, boi się, że będzie musiała zgłosić się do lekarza.

- I ma koszmary w nocy.

Lacy zdmuchnęła pył z parapetu i przestała słuchać plotek. Była przekonana, że przez całe lata miasteczko Sunstone nie miało takiej atrakcji, jak Jack Sutton. Będzie go im brakowało, kiedy wyjedzie do Chicago.

Jej też będzie go brakowało.

O dziesiątej wieczorem poczekalnia lśniła, ściany błyszcząły nową farbą, a podłoga warstwą lakieru. Lacy czuła zmęczenie dosłownie w każdym mięśniu.

- Gdzie będziesz spała, jeśli nie u doktora? - spytała Willie Pearl, opierając się o framugę drzwi. Pracowała przez cały dzień najwięcej i najciężej, a wyglądała w swoim lawendowym stroju tak świeżo jak z samego rana.

- Nie jestem związana z Jackiem - Lacy wyjaśniła z westchnieniem. - Nie wiem, gdzie dziś przenocuję. Pewnie w ciężarówce, żeby nie wdychać tych oparów.

- Chodź do mnie - zaproponowała Willie Pearl. - Wyślę Palmera na tę noc do jego domu, a ty możesz...

- Dzięki, tu mi będzie dobrze - przerwała jej Lacy z nadzieją, że jest odpowiednio blada. Nie chciała rozdzielać narzeczonych nawet na jedną noc. Zazdrościła im. Szybko odwróciła się od Willie Pearl, czując, że jednak czerwienieją jej policzki. - A jeśli ktoś mnie będzie potrzebował w nocy?

Spędzi tę noc sama w szoferce i nie da nikomu powodu do plotek. Miała tylko jedno życzenie - żeby przyśniło jej się coś pięknego.

Łazienka była w drewnie, dość jasna, żeby się w niej nie pogubić, równocześnie tonęła w nastrojowym półmroku. Tego wieczoru Jackowi nie pomógłby wodny masaż, za to gorąca kąpiel z Lacy i szampanem byłaby wybawieniem.

Wzdychając głośno, Jack wszedł do ciepłej wody, starając się myśleć o wszystkim prócz kobiety, którą pragnął mieć obok siebie. Ale jej obraz nie zniknął. Jack zanurzył się, znad wody uniosła się para, osiadając mgłą na maleńkich oknach. Poczł się bardzo samotny. W chwili opuszczenia domu Fremontów wpadł w apatię i to poczucie otepienia wlokło się za nim do domu.

Ciepła woda miała usunąć zmęczenie, tymczasem czuł się bardziej poirytowany i zapragnął, żeby jego życie nabrało kolorów. Dość sztywnych reguł, koniec z brakiem elastyczności. Jedna pyskata pielęgniarka przewróciła wszystko do góry nogami. Ale co tam, do diabła! I tak nie zostanie w Sunstone, w każdym razie nie dla Lacy. Zresztą nikt go do tego nie zmusi.

Położył głowę na krawędzi wanny, zamknął oczy. Obraz Lacy zaczął się powoli zacierać. Lacy - mruknął, zanurzając się, aż woda przykryła mu piersi.

W półśnie Lacy przypłynęła do niego, do jego wanny z bardzo gorącą wodą. Pieściła jego ucho i śmiała się zalotnie, czekając, aż on jej się odwdzięczy.

I wtedy zadzwonił ten cholerny telefon! Jack podniósł powieki. Nie było Lacy.

- Niech to szlag! - zaklął.

Lacy wierciła się w szoferce co najmniej przez godzinę. Wreszcie doszła do wniosku, że w żadnej pozycji nie będzie jej tam wygodnie. Wzięła koce i poduszkę i przeniosła się na tył wozu, szczęśliwa, że jest osłonięta plandeką, ponieważ w lipcu komary grasowały bezlitośnie, a do tego roiło się od brzęczących chrząszczy.

Udało jej się jakimś cudem umościć w miarę wygodnie, natychmiast zapadła w sen. Śnił jej się Jack. Właśnie zbliżały się do siebie ich usta, a on, podniecony, szeptał jej imię.

- Mhm... - westchnęła.

- Lacy, obudź się. - Ktoś szarpał ją za ramię. - Dzwonił jakiś Ben Dunbar. Jego żona, Louise, zaczęła rodzić.

Zaczęła rodzić? Słowa przebiły mgłę, która ją szczelnie otulała, i Lacy zobaczyła przed sobą ciemną sylwetkę Jacka.

- Co się dzieje? - spytała, otrząsając się ze snu.

- Louise Dunbar zaczęła rodzić, musimy dostać się na ich farmę. - Zapalił latarkę, uważając, żeby nie świecić Lacy w oczy. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby oślepić swoją pielęgniarkę, gdy tak bardzo jej

potrzebował. Nie przyjmował porodu od studiów. Miał nadzieję, że Lacy miała jakieś doświadczenie w tym zakresie.

Lacy usiadła, wciąż nie całkiem przebudzona. Pamiętała jednak, żeby szybko zerknąć, w jakim stroju ułożyła się do snu. Na szczęście była w dresach, szarych i powyciąganych.

- Nie powinna jechać do szpitala?

- Chyba już za późno. Ben powiedział, że jęczy tak głośno, że według niego nie zdążą...

Lacy poszukała butów, włożyła je, po czym przeczołgała się do tylnej klapy.

- Zobaczą, co mamy do porodu - powiedziała - ale radzę, żebyś wziął telefon i starał się przekonać pana Dunbara, że są gdzieś ludzie dużo lepiej przygotowani do tego niż my. - Zeskoczyła na ziemię i pobiegła do domu.

- Robiłeś to już kiedyś?! - zawołała do Jacka, który znalazł się zaraz za nią w poczekalni, wykręcając numer Dunbarów.

- Pewnie - odparł. - A ty?

- Jasne. - Lata temu pracowała na porodówce cały tydzień. Asystowała przy sześciu porodach, a to za mało, żeby przyjąć na świat dziecko Dunbarów. Poza tym przysięgła sobie wówczas, że nigdy do tego nie wróci. Teraz liczyła tylko na to, że Jack jest w tym dobry, chociaż miała wątpliwości. Był w końcu ortopedą.

Pozbierała wszystko, co mogło im się przydać. Zakładając, że to poród bez powikłań.

- I co?! - zawołała. - Przekonałeś go?

- To poród pośladowy, Lacy. Powiedział, że dwoje pierwszych dzieci też tak rodziła.

Lacy zbladła.

- Nie damy rady. Nie mamy odpowiedniego sprzętu.

- Nie wspominając już o doświadczeniu.

- Zadzwoń na pogotowie lotnicze do Louisville, przyślą kogoś za godzinę. Tylko że z tego, co mówi Ben, Louise nie wytrzyma...

- O nie - mruknęła Lacy, idąc za Jackiem do auta. Nagle zrozumiała, co znaczy określenie: chrzest bojowy.

Jack podał jej swoje notatki.

- Powinniśmy tam być za dwadzieścia minut. Pilnuj, żebym jechał według wskazówek Bena. - Wyjechał na ulicę i zerknął na przychodnię we wstecznym lusterku.

- A przy okazji, to moja ostatnia wizyta domowa.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Lacy przytupywała nerwowo nogą, nie takich domowych wizyt się spodziewała. Ból gardła, zerwane ścięgno, wzdęty brzuch - bardzo proszę. Ale nie poród.

- Czemu do mnie nie zadzwoniłeś? Mogliśmy spotkać się na miejscu.

Jack zjechał z dwupasmówki na polną drogę. Zwolnił i dostosował prędkość.

- Dzwoniłem, ale przecież byłaś w ciężarówce. Słyszałaś przypadkiem o istnieniu czegoś takiego? - Rzucił jej na kolana telefon komórkowy.

- Kiedyś miałam komórkę, ale...

- Niech zgadnę - podjął. - Pozbyłaś się jej, bo komórka nie pasuje do wiejskiego życia.

- Prawdę mówiąc, mój dziadek się z nią nie rozstaje. Ma też komputer, dostęp do Internetu, wodę bieżącą.,.

- Powiedz burmistrzowi, że jest ci niezbędna do pracy, niech miasto za to płaci, jeżeli masz być pod telefonem całą dobę.

- Zgubiłam swoją komórkę podczas przeprowadzki.

- Zadzwoń do Dunbarów i spytaj, jak tam Louise.

- Ile porodów przyjałeś do tej pory? - spytała. Czekala, aż ktoś po drugiej stronie odbierze telefon, pilnując jednocześnie, żeby nie zabłądzili. Niespokojnie przenosiła wzrok z notatek Jacka na widok za oknem, potem na telefon i znowu na notatki. - Skręcić na lewo przy „sto dołów furda”. Co to jest „sto dołów furda”?

- Na lewo od stodoły Forda. Jest świeżo malowana.

- Okej. Skracamy na lewo przy swiezo malowanej stodole. - Spojrzala na kartke. - Potem znowu na lewo przy... Nie mogle... Sokoła?

- Szkoła. Ceglana szkoła.

- Dobra, czyli przy szkole w lewo. Potem... kilometr do „siły Jaya... ”

- Silosu Jaya Pollarda.

Jack nauczył się na pamięć wskazówek, kiedy je zapisywał. Chciał tylko, żeby Lacy miała zajęcie, bo tak bardzo się trzęsła, że samochód wpadł w wibracje.

- Następnym razem ja będę pisać - burknęła. - Bazgrzesz tak, że wcale bym się nie zdziwiła, gdybyśmy jechali prosto do sąsiedniego stanu.

- I ty nazywasz siebie pielęgniarką? - drażnił się z nią. - Sądziłem, że uczą was odczytywać lekarskie kody.

- Mnie akurat uczono, żeby wezwać lekarza i kazać mu przeczytać, co nabazgrolił. Jak jeden z drugim przyleci dwa razy, od razu zacznie pisać wyraźnie. - Znowu zaczęła czytać: - Jechać do „pala kury”...

- Pola kukurydzy.

- Pola kukurydzy. Dom Dunbarów jest pierwszy po lewej, na końcu tego... pola. „Pal kilo nabok”. Co to? Węgierski?

- Pół kilometra w bok od drogi.

- Witam, panie Dunbar - powiedziała Lacy, kiedy Ben wreszcie podniósł słuchawkę. - Mówi Lacy Archer, pielęgniarka doktora Suttona. Chcieliśmy wiedzieć, jak się czuje Louise. - Kilka razy mruknęła potakująco i dodała: - Będziemy za kilka minut. Niech pan jej nie pozwoli przeć, dopóki nie przyjedziemy, dobrze? - Milczała przez moment, po czym powiedziała na koniec: - Nie, niech pan tego nie robi.

Rozłączyła się i zmarszczyła czoło.

- Obiecał, że jej nie zwiąże nóg, chociaż to powstrzymuje przed parciem. - Wsadziła komórkę do torby Jacka. - Nie jestem położną, ale chyba nie wiąże się kobiecie nóg, żeby powstrzymać poród?

- Pytałaś, ile przyjąłem porodów pośladkowych. Powiem ci. Ani jednego. I nigdy nie spotkałem się z tym, żeby kobiecie związywać nogi w takiej sytuacji. Może zadzwoń do dziadka i jego zapytaj.

- Łowi ryby w Kanadzie. - Wyjrzała przez okno na ciemne pola kukurydzy. - A w ogóle przyjmowałaś jakiś poród?

- Parę, musiałem to robić podczas stażu, ale to było tyle lat temu...

- I pewnie stał przy tobie doświadczony położnik, który traktował cię jak zawalidrogę, a ty uważałaś, że tracisz czas.

- Byłaś przy tym? - Roześmiał się. - Pewnie się chowałaś pod gumowym fartuchem i maską. - Wiedziałyby, gdyby tam była, bo wyczuwał jej obecność jakimś siódmym zmysłem.

- Nie w tym samym miejscu, ale w tej samej bajce. Pracowałam z położną, która potrafiła przyjąć dziecko na świat przez sen. Z konieczności i pod przymusem uczyła młode pielęgniarce.

- Czyli ile porodów pośladkowych masz za sobą?

- Tyle co ty - oznajmiła, osuwając się na fotelu.

- Myślisz, że mogłabyś złapać tę położną telefonicznie? Nie, jasne, że nie.

Dżip wpadł w koleinę i skręcił gwałtownie. Jack uderzył kolaniem w kierownicę, zaklął, wyprowadził samochód na prostą i zwolnił.

Światła wozu wyłowiły zarysy dużej stodoły. Nawet w ciemności było widać, że jest świeżo malowana.

- To musi być stodoła Forda - stwierdziła Lacy. - Czyli teraz skręcamy w pierwszą drogę na lewo.

Droga ta okazała się w zasadzie ścieżką, i to przypominającą dziurawy szwajcarski ser.

Minąwszy stodołę, bez kłopotu znaleźli kolejne znaki, ale bardzo się wlekli. Po ciemku, w nerwowym oczekiwaniu, które było udziałem obojga, wydawało im się, że trwa to wieki.

- Nie możemy jechać szybciej? - spytała Lacy na granicy cierpliwości.
- Louise pójdzie z dzieckiem do przedszkola, zanim dojedziemy.

Na niebie wisały ciężkie chmury. Jack słyszał wcześniej prognozę pogody, która zapowiadała opady. Miał nadzieję, że zdąży przed deszczem zapakować Louise do helikoptera. Gdyby rozpuściła się groźna burza, jak często bywa w lecie na Środkowym Zachodzie, helikopter nie mógłby lecieć. Jack nie dopuszczał nawet takiej możliwości.

- Kiedy dojedziesz do końca pola kukurydzy, zjedź na lewo i potem prosto do celu.

- Wiesz, jak wygląda kukurydza, Lacy?

- Prażona czy gotowana? - zezłościła się.

Chmury zasłaniały gwiazdy, byli skazani na światła samochodu, w których wszystko wyglądało tak samo. Zerkając w bok, Jack zobaczył, że Lacy przygryza wargę. Jej krótka chłopięca fryzura podkreślała łagodne rysy i oczy.

- Czy ktoś w twojej rodzinie miał oczy w takim kolorze jak twoje? - spytał.

- Obie Lacy przede mną. Dziadek i ojciec mówili, że zakochali się właśnie w tych oczach.

Jack to rozumiał. Oczy Lacy przykuwały uwagę.

- Są... - Chciał powiedzieć: piękne, oszałamiające. - Są niezwykle - wykrztusił.

- Większość osób myśli, że to szkła kontaktowe.

- Każdy głupi potrafi to odróżnić - skłamał. - To gdzie mam jechać, jak miniemy pole?

- Pierwsza na lewo. „Pal kilo nabok”, zapomniałeś?

- Zbliżamy się do celu. Zastanówmy się lepiej, co dalej.

Lacy popatrzyła w niebo.

- Helikopter tu nie trafi, nie zobaczą naszych znaków.

- Powiedzieli, że skontaktują się z szeryfem, żeby ich pilotował.

- Ale wciąż są pół godziny drogi stąd, tak? - Twarz Lacy ponownie się zmarszczyła. Z ich trójki, lekarza, pielęgniarki i pacjentki, ta ostatnia miała największe doświadczenie, a to bardzo niedobrze.

Jack manewrował, żeby wyprowadzić samochód z polnej ścieżki na wysypaną żwirem drogę. Widział już z dala światła jakiegoś domu, świecące jasno, jakby na nich czekały. Miał nadzieję, że nie są za późno. Zerknął na zegarek. Minęło więcej niż obiecane dwadzieścia minut. Zobaczył w wyobraźni ciężarną Louise, która zwija się w łóżku z nogami związanymi lassem.

- Może trzeba będzie zrobić cesarskie cięcie - powiedział poważnie do Lacy, zatrzymując wóz przed domem. - Biegnij, a ja zaraz przyjdę. - Niech na mnie nie czeka, pomyślał. A nuż popędzi i przyjmie dziecko na świat, zanim ja wdrapię się tam ze swoją torbą.

Lacy ścisnęła go za rękę.

- To na pewno jest dużo prostsze niż skomplikowane operacje kości.

Jack uśmiechnął się.

- Chciałabyś, co?

- Dobrze, że dotarliście, doktorze! - wołał już Ben Dunbar. - Jeszcze nigdy tak nie jęczała. Z dwoma pierwszymi tak nie było, zaczynam się martwić. Przyszło mi do głowy, że może to bliźniaki, bo była bardzo gruba. Doktor Washburn mówił, że słyszy dwa serca.

- Bliźniaki?! - Wykrzyknęli struchlali Lacy i Jack.

Ben uniósł ramiona.

- Mocno spuchła. I strasznie zrzedziała. Ja tam bym się nie zdziwił. Jej siostra urodziła bliźniaki.

Lacy przeskoczyła schody i wpadła do środka, a za nią Jack, przeklinając na każdym stopniu swoją laskę.

- Pewnie jest na górze, w łóżku - powiedziała Lacy, biegnąc przez hol. Kiedy dotarli do schodów, zatrzymali się i nadstawili uszu. Na górze było cicho. Żadnych jęków. Niedobrze.

- Jack, myślisz, że...

Nie skończyła zdania, Jack odepchnął ją i ruszył schodami najszybciej, jak potrafił. Skierował się do najbliższej sypialni. Była pusta.

- Cholera - mruknął.

Druga i trzecia sypialnia też były puste.

- Nie ma jej tu! - wołał, skrobiąc się w głowę, kiedy wychodził z czwartej sypialni.

- Nie widziałam jej na dole - powiedziała Lacy. - Trzeba zapytać Bena.

Lacy ruszyła przez kuchenne drzwi. Ben stał u stop schodów z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

- Umyliście się? Mogliście to zrobić równie dobrze przy pompie.

- Gdzie Lousie? - spytała Lacy z lękiem, że już jej nie spotka.

- Tam, gdzie była całą noc. W oborze, razem z Sally.

- Zostawił ją pan w oborze?! - krzyknęła Lacy i odwróciła się do Jacka. - Jest w oborze.

- Bogu dzięki, że ją tam dowlokłem - rzekł Ben. Nie było po nim widać, żeby się specjalnie przejął. - Była w polu, jak ją bóle złapały. I nie chciała się ruszyć. Godzinę się z nią mordowałem. Strasznie uparta sztuka.

Jack pokuśtykał na zewnątrz. Co za dziwacy!

- No to prowadź do niej, Ben.

- Będą nam potrzebne czyste prześcieradła i koce! - zawołała Lacy. - Ben, wróć i weź coś.

Chciała też zarządzić gotowanie wody, jeden z najstarszych sposobów na odciążenie mężczyzny od miejsca narodzin. Stwierdziła jednak, że odległość między domem i stodołą całkowicie wystarczy. Wzięła torbę od Jacka. Droga przez pełne dziur podwórko była dla niego uciążliwa, a najmniejsze potknięcie mogło się źle skończyć.

- Zwolnij - poprosiła, chwytając go za łokieć. - Louise czekała tak długo, że minuta nie sprawi jej różnicy.

- Mieści ci się w głowi, że nie zaniósł jej do domu? Wiem, że farmerzy są twardzi, a ich żony wytrzymałe, ale to już przesada.

- Może przy oborze jest miły pokoik dla wynajmowanych do pracy ludzi - wymyśliła Lacy. - A może ona jest tak uparta, jak mówi Ben, i nie był w stanie działać nic więcej.

- A może jemu było tak najłatwiej. - Jack ominął dwie gęsi i pchnął Lacy do wnętrza dobrze oświetlonego budynku.

- Louise?! - zawołał, nikogo nie widząc.

Odpowiedział mu ryk krowy, zawołał więc ponownie, głośniej, i wtedy pojawiła się przed nim uśmiechnięta kobieta.

- Jest tutaj. Ma kłopot.

Lacy pobiegła natychmiast do przegrody, otworzyła szeroko usta i wypuściła z rąk torbę na czystą, pokrytą słomą podłogę.

- Żartuje pani... - wykrztusiła.

Jack podszedł do niej i poczuł to samo, co Lacy.

- Mowy nie ma.

- Pani chyba nie jest Louise? - odezwała się Lacy do kobiety.

Kobieta roześmiała się, weszła do przegrody i uklękła przy krowie.

- Jestem Sally Dunbar, żona Bena.

- Nie zajmujemy się krowami - mruknął Jack.

- Doktor Washburn zawsze pomagał, jak któreś ciężko szło.

- Proszę wezwać weterynarza - odparł Jack. - Do mnie proszę dzwonić, jak pani będzie rodzić, pani Dunbar.

- Niech pan jej tak nie zostawia, doktorze - błagała Sally. - Ona zdechnie.

Jack zrobił kilka kroków do wyjścia i odwrócił się.

- Przykro mi - rzekł łagodniej. - Naprawdę nie mogę. - Poczłapał ciężko przez podwórze.

W połowie drogi do samochodu dogoniła go Lacy.

- Musimy pomóc tym ludziom! - zawołała. - Przecież krowy i cielaki to dla nich wszystko.

- Sądysz, że nie wiem? Ale ja nie umiem przyjąć pośladowego porodu krowy.

Ścisnęła go mocno za rękę, aż musiał się zatrzymać.

- Myślałam, że okażesz więcej współczucia. - Lacy pospieszyła z powrotem do obory. Ona też nie miała pojęcia, jak rodzą się cielaki, ale zamierzała nauczyć się tego tej nocy.

- Doktor Sutton ma chore kolano - wyjaśniła Dunbarom. - Nie da sobie rady - dodała z goryczą. Była rozczarowana i zła na siebie, że tyle od niego oczekuje, a przecież nie ma do tego najmniejszego prawa. - Dopiero co miał operację, jeszcze nie wydobrzała.

- To już wiem, czemu rzucał brukwią - stwierdził rzeczowo Ben. - Nie wiedziałem, czemu normalny gość robi coś takiego, zwłaszcza że to była brukiew Kena Howella.

Przyglądając się krowie, Lacy stwierdziła, że poród jest zaawansowany.

- Louise - odezwała się do niespokojnego zwierzęcia. - Nigdy jeszcze nie przyjmowałam na świat cieląt, musimy się obie bardzo postarać. - Poklepała krowę i pokręciła sceptycznie głową.

- Nie ma już siły przecć - powiedziała Sally, siadając przy krowie i głaszcząc ją delikatnie. - Jak jej szybko nie pomożemy, padnie.

- Wychodzą już tylne nogi - wyjaśnił Ben. - A najpierw powinny wyjść przednie. Mam kleszcze do cieląt, dlatego zadzwoniłem po doktora, bo Sally nie mogła....

- Jasne - przerwała mu Lacy, domyślając się, co to za kleszcze. - Niech pan je da.

- Jest pan pewny, że to tylne nogi? - odezwał się z za ich pleców głos Jacka.

Ben przytaknął.

- Pewny, chociaż można się czasem pomylić. Podobno panu dokuczają kolano, doktorze?

- Lousie na pewno bardziej cierpi - odparł Jack. - Od czego zaczynamy, siostrze? - spytał.

Lacy była mu bardzo wdzięczna, że jednak wrócił.

- To nie jest poród pośladkowy - włączył się Ben.

- Przy pośladkowym najpierw wyłazi zad, a ten cielak wyłazi tylnymi nogami, nie trzeba go przekręcać. Trzeba mu pomóc wyleźć.

Jackowi nagle coś zaświtało.

- Czy ktoś tu ma beczkę wazeliny?

Po chwili, kiedy Ben przyniósł rodzinne opakowanie wazeliny, Jack westchnął zrezygnowany. Chyba czas przygotować się na niespodzianki wiejskiego życia, pomyślał.

- Dzięki - powiedziała Lacy przy pompie. Jack mył ręce pod zimnym strumieniem. - Bałam się, że nie damy sobie rady.

Jack zanurzył ręce do łokcia, strzepnął wodę i zaśmiał się. Może nie były to sterylne warunki, jak w Chicago, ale tam nie miał przy sobie takiej pielęgniarki.

- Za chwilę dzwoniłabyś, żebym cię stąd zabrał, postanowiłem oszczędzić sobie dodatkowej wycieczki. To wszystko.

- A naprawdę dlaczego wróciłeś? - Patrzyła na niego i nawet w półmroku widziała na jego twarzy odpowiedź. Nie był obojętny. Doktor Sutton trzymał zawodowy dystans, ale Jack Sutton był normalnym wrażliwym człowiekiem. Ucałowałyby go, gdyby mogła, ale przywoływały ich przerażone ryki przyszłej matki.

- Sama nie miałabyś szansy, a brak ci rozsądku, żeby się wycofać.

- A już myślałam, że pożałowałeś Louise.

- Lepiej pomóż mi zdjąć koszulę - burknął - jeśli to ma się dzisiaj skończyć. Wiesz, że tego nie ma w kontrakcie - dodał chłodnym tonem. Został w podkoszulku. Patrzył, jak Lacy zawiązuje sobie jego koszulę w pasie i wydawało mu się to trochę zbyt intymne. - Weź butelkę antyseptyku z mojej kieszeni i polej mi ręce - polecił.

- A czy masz w kontrakcie zapis, że będziesz leczył tylko ludzi?

- Powinienem był go dokładniej przeczytać. Ten burmistrz na pewno przemycił coś na temat krów i świń.

- Wsadził dwa palce do słoika z wazeliną i zaczął smarować nią ręce.

- Wyżej - powiedziała Lacy i roześmiała się.

Po kilku zanurzeniach Jack był w wazelinie od czubków palców do ramion.

- Teraz wiem, dlaczego zostałem ortopedą - parsknął, idąc do stajni.

Lacy niosła jego laskę. Przygląda się mu i po kilku ostrożnych, powolnych krokach Jacka objęła go w pasie.

- Trzymaj te tłuste łapska z dala ode mnie - ostrzegła tylko, kiedy zbliżali się do przegrody Louise.

- Doktorze - odezwał się Ben. - Przyniosłem panu te prześcieradła i koce, chociaż za Boga nie wiem, po co one panu. Ale ten helikopter, wie pan, ten, co właśnie wylądował... to moim zdaniem Louise nie da się do niego zaciągnąć. Powiem panu, że szeryf też nie jest szczęśliwy, że musiał ich w nocy pilotować, żeby zabrali Louise do jakiegoś szpitala dla krów.

Helikopter? Kompletnie zapomniał! Jack spojrział na swoje wysmarowane ręce, odrzucił do tyłu głowę i zaniósł się śmiechem.

- Niech pan powie szeryfowi i tym ludziom od helikoptera, że mamy wszystko pod kontrolą, ale bardzo im dziękujemy, i niech mi przyślą rachunek. A teraz przepraszam, muszę się zająć krową. - Zabierając się do pracy, nucił pod nosem.

- Jack - śmiała się Lacy. - Będziesz miał bogatsze CV. - Wciąż ją zaskakiwał. Raz był zimny, raz troskliwy. Ten facet doprowadzał ją do rozpacz, irytował, wzbudzał litość, a czasami szacunek i podziw. Czowała nawet coś, czego za nic nie chciała czuć do Jacka. - Sally dała mi książkę - podjęła. - Jest w niej rozdział o przyjmowaniu na świat cieląt.

- Czytaj.

- Okej. Piszą tak: Wymyj dokładnie i zdezynfekuj ręce. Mamy to za sobą. - Przejrzała dalszy ciąg tekstu, przesuując palcem po stronie. - O, tu coś jest. Ułóż palce i kciuk na kształt stożka i wepchnij je...

- Nie mogę, Lacy. Nogi wylażą. Dalej.

Louise ryczała coraz słabiej, jeszcze kilka minut i cały nasz wysiłek pójdzie na marne, pomyślała Lacy.

- Co dalej? - dopytywał się Jack.

- No, wyciągnij to biedne maleństwo - odparła, studiując narzędzie, które przyniósł Ben. Pomógł im ułożyć je odpowiednio, owinał łańcuch wokół tylnych nóg cielaka.

- Niech pan spróbuje tam wsadzić rękę, a ja będę ciągnąć - rzekł Ben i zaczął powoli ciągnąć łańcuch. Kopyta i nogi cielaka pokazały się w całości, gotowe kopać. - Pani go złapie, jak wylezie - zwrócił się Ben do Lacy - i pani go traktuje jak własne dziecko.

- Moje dziecko nie będzie wyciągane łańcuchem - mruknęła Lacy, usiłując przyjąć właściwą pozycję.

Nie minęło kilka minut i Louise miała przed sobą całkiem nowego cielaka.

- Duże bydlę - zaśmiał się Ben.

- Nie żyje! - krzyknęła Lacy, przemywając zwierzęciu oczy i pysk. Cielak miał szklane oczy.

- Sprawdź serce - poinstruował spokojnie Jack. - Tak jak na intensywnej terapii. Ben, mam gdzieś małą butlę tlenową. Możesz mi ją podać?

- Jest słaby puls - ucieszyła się Lacy po chwili.

- Coraz mocniejszy.

- Połóż go na boku i ustaw tak głowę, żeby mógł jak najlepiej oddychać - mówił dalej Jack. - Potem wsadź mu słomkę do nosa.

Lacy spojrzała na niego zdumiona.

- Zrób tak, Lacy - poprosił cierpliwie. - Czuję drugiego, bardzo mu się spieszy.

- Mam tlen - ogłosił Ben, stawiając zieloną butlę obok Lacy.

Lacy wsadziła cielakowi do otworu nosowego źdźbło słomy, a ten zaczął z miejsca prychać. Natychmiast otworzyła butlę i przytknęła do nozdrzy cielaka plastikową maskę.

- Za dwadzieścia minut stanie na nogi - oznajmiła Sally.

- Jego siostra też - oświadczył Jack, tuląc do piersi kolejne dziecko Louise.

Niecałe pół godziny później Jack i Lacy, zlanii wodą z węża, padli na stertę słomy obok przegrody Louise.

Kiedy Ben i Sally zobaczyli, że krowa macha ogonem, a jej dzieci mają się dobrze, poszli do domu umyć się i zrobić kanapki.

Bliźniaki były razem z Jackiem i Lacy, która chciała zobaczyć ich pierwsze kroki. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, jakim szczęściem muszą być dla matki pierwsze kroki dziecka. Poczula nawet coś zupełnie jej do tej pory nieznanego. Zapragnęła mieć dziecko.

Jack wyjął słomkę z jej włosów. Jego batystowa koszula zamieniła się w ręcznik, a spodnie należało spisać na straty. Był wykończony.

- Popatrz - szepnęła, pokazując cielaka. Nazwała go Bubba. - Próbuje wstać. - Cielak podniósł się najpierw na przednie kolana, potem podciągnął się w górę. Zachwiał się, spróbował zrobić parę kroków i znowu się zachwiał. Ale już wkrótce przywykł do swoich długich nóg i zaczął rozglądać się za mamą. - Czy to nie cud? - spytała.

Sissy, tak Lacy nazwała jego siostrę, ruszyła na swój pierwszy spacer parę minut później. Lacy zaprowadziła oboje do Louise. Zerknęła na Jacka, który wciąż leżał wyciągnięty na słomie, i zastanowiła się, czy stać go na bliźniaki.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Z nocnego nieba spadały duże zimne krople. Jack i Lacy umyli się raz jeszcze i spałaszowali sporą porcję solidnych kanapek z wiejską szynką. Nabrali wilczego apetytu. Zmieścili także domowe owocowe ciasto Sally Dunbar, które zmietli co do okruszka, i pożegnali się, rzucając jeszcze okiem na Louise i jej dzieci.

- Z tyłu jest koc - powiedział Jack, widząc, że Lacy drży.

- To się przykryj - odparła zmęczona - a ja poprowadzę. Za długo byłeś na nogach.

- Nie zamierzam się z tobą kłócić - rzekł na to, wspinając się na miejsce obok kierowcy. Kolano bolało go, ale sam się dziwił, że nie był to już ten ostry ból nie do zniesienia. - Twój dziadek też odbierał cielaki, czy miał więcej szczęścia? - Wyciągając się na fotelu, Jack zamknął oczy. Sen był tuż tuż, Jack zmuszał się, żeby nie zasnąć i usłyszeć odpowiedź Lacy.

- Mieli tam weterynarza, prowadził farmę... - Nie dokończyła, słysząc lekkie chrapanie spod koca.

Uśmiechnęła się.

Nocne niebo przecięła błyskawica, a zaraz za nią rozległ się pojedynczy grzmot, który rozprzestrzenił się echem. Jack poderwał się.

- Co jest... - Urwał, starając się zorientować, co się dzieje. Łało jak z cebra, ciągłe dudnienie sprawiało, że zdawało mu się, że jest na kęgielni. Rozejrzał się, znajdował się jednak w samochodzie zaparkowanym za przychodnią.

- Lacy?! - zawołał, patrząc, czy nie ma jej z tyłu, a następnie znów wbił wzrok w zalaną deszczem szybę.

W oknie na tyłach domu ujrzał słabe światło. Lacy stała w oknie z nosem przyklepionym do szyby. Było za ciemno, żeby widział jej rysy, ale to nie było konieczne. Znał je na pamięć.

- O rany - mruknął i osunął się na fotelu. To było gorsze niż jego pierwsza miłość - panna Nancy, jego nauczycielka w trzeciej klasie. Przynosił jej jabłka, kwiaty, codziennie wycierał tablicę. A potem zjawił się uwodziciel.

Tamtego dnia burza była równie głośna, a narzeczony panny Nancy przyszedł po nią, żeby odwieźć ją do domu. Jack siedział z tyłu nadąsany. Wszystkie życiowe plany zawałyły się, zakochał się w niewłaściwej kobiecie, która nie dawała mu żadnej nadziei na przyszłość.

- Nic dziwnego, że ze mnie taki dupek - mruknął, wciąż patrząc przez okno. - Zakochuję się w niedostępnych dla mnie kobietach. - Gapił się, zamyślony, na deszcz i owinał się szczelniej kocem. Nie ma po co wychodzić. A gdyby wszedł do domu, dowiedziałby się tylko, że Lacy z nim nie po drodze.

Lacy tymczasem krążyła po pokoju, co chwila przystając przy oknie. Widziała tylko zarys samochodu. Mimo to nie mogła się oderwać od okna, patrzyła tak intensywnie, aż oczy zaszyły jej mgłą. Wreszcie wczółgała się do łóżka i marzyła, żeby jej się coś przyśniło, cokolwiek, ktokolwiek, byle nie Jack.

Po jakimś czasie usłyszała kroki i stwierdziła, że przestało padać. Postukiwanie jego laski na drewnianej podłodze i posuwisty krok jego lewej nogi mieszały się ze sobą. Wiedziała, że Jack stara się jej nie zbudzić. A przecież nie spała.

- Możesz się położyć na łóżku - odezwała się cicho. Leżała na boku, plecami do Jacka. - Pościeli starczyłoby tu dla połowy miasta, ja położę się na podłodze.

- Dzięki, położę się na stole - odparł.

- Nie zmieścisz się - rzekła na to, odwracając się. -A twoje kolano...

- Chcesz mi oddać łóżko, żeby mieć się na co skarżyć od rana.

- A ty wolisz, żebym została w łóżku, bo masz nadzieję, że znowu włożyłam jakieś małe czarne. - Usiadła i uśmiechnęła się. - Niestety, doktorze, jestem ubrana. - Rękawy bluzy sięgały jej połowy palców, spodnie od dresu zakrywały kostki. - Kładź się i daj odpocząć nodze. - Wyskoczyła z łóżka, odgarnawszy kołdrę, i pchnęła na nie Jacka.

- Z tobą w ogóle nie ma sensu się spierać, prawda? - powiedział, zajmując miejsce wciąż przesycone jej zapachem.

- To po co pytasz? - Chwyciła poduszkę, podniosła jego nogę i upchnęła poduszkę pod jego kolanem.

- Powiedz mi, Lacy, o co powinienem cię pytać i prosić. Zrób listę. - Położył się i patrzył, jak Lacy poprawia poduszkę. - Czy mam cię pytać o to? - Potarł grzbietem dłoni jej policzek i wargi. - Albo o to? - Dotknął jej dłoni, uniósł ją i pocałował lekko.

- Nie - powiedziała cicho. - To znaczy, tak. - Cofnęła się. - To znaczy...

- Nie spodziewałem się, że dożyję dnia, kiedy zabraknie ci słów. - Roześmiał się.

- Wcale mi nie zabrakło słów - rzuciła, starając się złapać równowagę. - Ja tylko... tylko...

- Tylko co? Chodź tu i powiedz mi. - Odsunął się możliwe najdalej, ale łóżko było dość wąskie.

Lacy zrobiła krok i zawahała się. Przestraszyła się tego, co może się stać, a co na pewno nie będzie takie, jak w jej marzeniach. Jak to możliwe, że tyle lat pracowała, skutecznie oganiając się od awansów lekarzy, a teraz, w drugim dniu pracy w nowym mieście, jest gotowa wskoczyć do łóżka po jednym słowie? Nie, Lacy, powiedziała sobie, to do ciebie niepodobne.

- Jack, co my robimy? - powiedziała w końcu i wśliznęła się w jego objęcia. - Co za dzień - szepnęła, kiedy dotknął jej ucha czubkiem języka. - A raczej co za noc!

- Noc - szepnął, powoli pozbawiając ją ubrania.

- Powiedz mi, jak cię zabolilo kolano - szepnęła tylko.

- Jakie kolano?

Prawie go nie usłyszała. To nie był jej pierwszy raz, a jednak czuła, jakby tak właśnie było. Odsunęła na bok swoje lęki i wątpliwości. Dłonie Jacka były czułe i dociekliwe. Zatrzymały się na jej brzuchu. Lacy zeszła z łóżka i wyskoczyła ze spodni.

- Mój ulubiony kolor - powiedział Jack, widząc jej niebieską bieliznę.

- Myślałam, że wolisz czarną.

- Myślę, że wyglądałabyś zabójczo w czerwonym - dodał, wyciskając całusa na jej pępku. A kiedy znalazła się znowu pod kołdrą, upewnił się: - Jesteśmy zamknięci, czy należy się spodziewać gości?

- Podejrzewam, że połowa mieszkańców Sunstone ma klucz do tego domu - odparła. - A druga połowa właśnie go sobie dorabia.

- I nie boisz się, że nas przyłapią? - spytał.

Lacy była zajęta całowaniem i niechętnie przerwała:

- Sam zdecyduj. Kończymy? - Usiadła prosto. - Tej jednej nocy jestem gotowa cię posłuchać. Na jutro nie dam ci żadnej gwarancji.

- To znaczy?

- Odpowiedz mi, czego chcesz, bo za parę godzin zacznie się nowy dzień.

- Niech będzie kawa - odparł. - Czarna.

- Nie mam kawy. Czy to nie wystarczy?

Wiedziała, czego sama chce, chociaż była tym nieco zaszokowana, nie na tyle jednak, żeby się wycofać. Zaczęła go całować, spokojnie, potem coraz gwałtowniej, aż krzyknął:

- Uważaj!

A ona poderwała się z przepraszającą miną, pytając:

- Kolano?

- To nie kolano - odparł, przygarniając ją czułym gestem i tym razem Lacy wylądowała na jego chorym kolanie. Wyprostował się tak gwałtownie, że znalazła się na podłodze.

- Przepraszam - odezwał się. - Nic ci nie zrobiłem?

Twarz Lacy ocieniał smutny uśmiech. Jej śmiałość rozplynęła się gdzieś.

- Nie, ale mało brakowało - odparła. Podniosła z podłogi swój dres i przeniosła się na stos koców. - Jak ktoś mnie zapyta, co tu robię, powiem, że to ty kazałeś mi spać na podłodze.

Jack naciągnął kołdrę na głowę, wydając cichy jęk, i spróbował przewrócić się na bok. Jego kolano zjechało z poduszki. Nie cierpiał jednak z jego powodu tak dotkliwie, jak z powodu innego dojmującego bólu, który nie dał mu zasnąć przez wiele godzin.

Jack otworzył oczy, czując zapach kawy. Lacy siedziała obok łóżka z parującym kubkiem.

- Czarna? - spytał sennie.

- Jak węgiel. - Podała mu kubek, kiedy usiadł nie bez kłopotu. - Jak tam kolano?

Pociągnął łyk kawy, zerkając na Lacy znad kubka. Zdaje się, że serio mówiła o tej gwarancji - zaczął się nowy dzień i nic nie wskazywało na to, co o mały włos wydarzyłoby się między nimi w nocy.

- Dobra kawa - mruknął. - A kolano nie najgorzej.

- No to świetnie - powiedziała, wstając raptownie. - Chcesz ćwiczyć przed myciem?

- Uważasz, że powinienem dziś ćwiczyć? - Chętnie poćwiczyłby z Willie Pearl czy kimś innym. Ale nie z Lacy.

- Czyli później, tak?

- Chcę wziąć prysznic, przebrać się w czyste ubranie, przeczytać gazetę, jeśli w tym mieście jest jakaś, i wypić drugą kawę.

- Mogę ci zrobić kawę. Jakiś dobry duch podrzucił mi wczoraj ekspres. O resztę musisz się postarać sam.

Jack wziął laskę, która stała oparta o wezglowie łóżka, podniósł się i ruszył po buty, które zostawił przy kuchennych drzwiach, kiedy wchodził na palcach.

- Co masz zamiar zrobić ze swoją połówką cielaka? - spytał, zmieniając temat, żeby nie myśleć dłużej o wczorajszej nocy.

- Nie rozumiem.

- Przecież zapłacili nam Bubbę.

Lacy podeszła do drewnianego blatu, na którym stało pudełko pełne ciepłych jeszcze pączków. Ellis MacNamara, miejscowy piekarz, zapowiedział się z wizytą na zdjęcie szwów.

- Żartujesz? Przecież nam go na pewno nie oddadzą.

- Wyjęła lukrowany pączek, zjadła połowę w kilku kęsach i wytarła usta dłonią. - Co byśmy z nim zrobili?

Jack wzruszył ramionami, wbijając wzrok w buty. Większość kobiet uznałaby za niezbędne przegadanie tej ich nieszczęsnej nocnej próby, był więc tym bardziej zaniepokojony, że Lacy nawet o tym nie wspomina. Może faktycznie traktowała to jako jednorazową przygodę. Szkoda, bo rozmyślał nawet, jak utrzymać z nią kontakt po powrocie do Chicago. Ale był również pewien, że nie chce być przedmiotem pożądania tylko na jedną noc.

- Mnie w to nie mieszaj, Lacy. Ben zamierza nam dostarczyć cielaka, kiedy go odstawi od matki - do tego czasu już mnie tu nie będzie. Postanowiłem więc przekazać ci moją połówkę Bubby.

- No to ja przekażę go z powrotem Dunbarom - odparła.

- Chcesz ich obrazić? - Jack przyczłapał do niej i zanurkował ręką w pudełku z pączkami. - Ben powiedział, że Washburnowi zawsze płacił jakimiś robotami przy domu, ale wszyscy teraz robią coś przy tym domu, pomyślał więc, że da nam cielaka. Wyobraź sobie po prostu, że to duży kociak.

Lacy wyjrzała na ulicę. Typowa szarówka. Droga poznaczona była kałużami, napęczniałe chmury czekały tylko, żeby uwolnić deszcz, a ona była zbyt zmęczona, żeby myśleć, co robi z zapłatą za pierwszy domowy poród.

- Niech go zatrzymają, a ja będę go odwiedzać w weekendy. Albo oddam ci swoją połowę, a ty zabierzesz go do Chicago. Wyobraź sobie po prostu, że to duży kociak.

- Niestety, w moim domu nie wolno trzymać zwierząt - odparł Jack, dokańczając drugiego pączka. Wziął kolejnego i oparł się o blat. - Co nas czeka dziś rano?

- O cielaku porozmawiamy później. - Lacy sięgnęła po książkę z zapisami pacjentów leżącą na biurku Willie Pearl. - Na początek ból szyi, potem poparzenie.

- Nazwiska pacjentów?

Lacy uniosła ramiona.

- Willie Pearl zapisała tylko diagnozy i godziny.

- Skoro ona stawia diagnozy, to chyba jestem tu zbędny. - Zawinął dwa pączki w serwetkę, nalał kawy do kubka i ruszył do wyjścia. - Idę do domu, Lacy. Zadzwoń, jak będę potrzebny.

- Oho, znowu dobry humor od rana - zauważyła Willie Pearl, stając w drzwiach.

Jack skinął jej głową i wyszedł.

- Mieliśmy ciężką noc.

- Słyszałam, Ben i Sally wychwalają was pod niebiosa. Mówią, że jak na ludzi, którzy nie odróżniają pyska krowy od jej zadu, spisaliście się na medal.

- Czy doktor Washburn często musiał zamieniać się w weterynarza? - spytała Lacy, sunąc ciężko do ekspresu. Nalała filiżankę kawy i podała ją Willie Pearl, a potem nalała drugą dla siebie. Zazwyczaj wołała rano herbatę, lecz do tego ranka gorycz kawy bardziej jej pasowała.

- Zdarzało mu się zajmować zwierzętami. Ale tylko w nagłych wypadkach. W sąsiednim hrabstwie jest świetny weterynarz. A ten czego znów taki kwaśny?

- Mówiłam już, miał ciężką noc. No i to kolano wciąż mu dokucza.

Willie Pearl zerknęła podejrzliwie na łóżko na środku pokoju.

- Mówisz o tym, co się działo na farmie Dunbarów, tak? Czy o tym, co się działo, kiedy doktor się tu potem zamelinował?

- A o czym niby mam mówić? - odburknęła Lacy. - Założyliście tu podsłuch, czy co? - W małych miasteczkach wiadomości rozchodzą się jak błyskawica. Niektóre z nich w drodze od jednej osoby do drugiej rozdymają się jak balony.

- Więcej takich widziałam, niż ty masz lat - zagadkała Willie Pearl i położyła rękę na ramieniu Lacy. - Masz wybór, więc nie zepsuj niczego. Rób to, co wydaje ci się słuszne, i zapomnij o całej reszcie. A teraz pozbieraj się i do roboty. Mamy już szóstkę pacjentów, a pierwszy stawi się tu za dziesięć minut.

- Szóstkę? - przeraziła się Lacy. - Dziesięć minut temu było ich tylko dwóch.

Willie Pearl cierpliwie skinęła głową, tuląc do siebie telefon, i uniosła sześć palców. Lacy przestraszyła się, że Willie Pearl właśnie zamierza umówić siódmego pacjenta.

- Nie zapomnij posłać łóżka! - zawołała za nią Willie Pearl, kiedy Lacy zniknęła w łazience. - Nie chcę, żeby ludziom przychodziły do głowy zbredne myśli.

- Jakby musieli w tym celu patrzeć na łóżko...

- Tak, tak, to musiała być ciężka noc - stwierdziła raz jeszcze Willie Pearl i roześmiewszy się, wprowadziła pierwszego pacjenta.

Cherie z salonu piękności wystroiła się w swój najlepszy dzinsowy komplet. Jej spodnie były tak ciasne, że zdawało się, iż zamek błyskawiczny błyskawicznie się rozejdzie.

Pierwsza myśl, jaka przyszła Lacy do głowy na widok tej kobiety, brzmiała: Jak ona w tym siada? Odpowiedź była prosta: Cherie uparcie stała.

- Podobno doktor spędził tu całą noc - odezwała się Cherie, idąc za Lacy do gabinetu. - Szybki jest, lubię takich.

Lacy pominęła to milczeniem i przekreśliła szyję Cherie z boku na bok.

- Dawno jest taka sztywna? - spytała.

- Parę dni. Pewnie źle spałam...

Lacy dała jej środek przeciwbólowy i tubkę maści.

- Proszę to wypróbować - rzekła. - Jeśli się nie poprawi w ciągu kilku dni, proszę wrócić, żeby zbadał panią lekarz. Może przepisze pani coś rozluźniającego mięśnie.

- To dzisiaj mnie nie zbada?

- Chciałabyś, co?! - zawołała z poczekalni Willie Pearl. - Założę się, że to nie szyję byś mu pokazała.

Kręcąc głową i sapiąc z oburzenia, Cherie zakreśliła się i szybkim krokiem pomknęła do drzwi, jak ktoś, kto nie zna żadnego bólu. Lacy patrzyła jeszcze za nią przez okno, po czym przeniosła wzrok na Willie Pearl.

- Właściwie o co jej chodziło?

- Lubi młodszych.

- To znaczy...

- Mogę tylko powiedzieć, że ma zakaz wstępu do liceum. - Willie Pearl roześmiała się w głos. - Dobrze, że nie mieszkamy na wybrzeżu, bo nie opuszczałyby portu i powiem ci, że nie witałyby marynarzy jak matka. Chyba właśnie pędzi do domu doktora.

- To może uprzedźmy go.

Willie Pearl pokręciła głową, wzięła ołówek i skreśliła pierwszego pacjenta ze swojej listy.

- Nie mam tego w obowiązkach, ale ty rób, jak chcesz.

Lacy wyobraziła sobie zaloty Cherie. I Jacka, który odpiera jej atak. Przynajmniej będzie miał jakieś zajęcie, pomyślała.

- Może później, jak będziemy wolne - powiedziała i otworzyła drzwi, witając następnego pacjenta.

Był to mężczyzna po czterdziestce, któremu towarzyszyła żona. Z jego miny Lacy domyśliła się, kto tu jest chory.

- Poparzył się sokiem sumaka jadowitego - oznajmiła z powagą żona, kończąc szeptem: - Na swoich intymnych częściach, wie pani.

- I nie zdejmę spodni przed pielęgniarką - dodał mąż, prychnając.

- Zdejmiesz, jak ci każe - uznała żona.

Lacy zerknęła na Willie Pearl kątem oka, prowadząc mężczyznę do gabinetu. Kiedy wyszli stamtąd po dziesięciu minutach, mężczyzna był szeroko uśmiechnięty, ścisnął w garści próbki maści, rękawiczki jednorazowe i powtarzał sobie w myśli, że następnym razem, jak będzie wyrywał chwasty, musi dokładnie umyć ręce, zanim zabierze się do innych zajęć.

Trójka kolejnych pacjentów zgłosiła się z pospolitymi problemami, które nie wymagały interwencji lekarskiej. Czwarty miał naciągnięte

ścięgnę w nadgarstku, Lacy sama sobie z tym poradziła. Ostatnia tego ranka była Millie Ballard, cierpiąca na artretyzm.

- Jest coraz gorzej - skarżyła się, kiedy Lacy pomagała jej usiąść.

W karcie Millie, którą prowadził doktor Washburn, napisane było, że Millie bierze najniższe z możliwych dawki ibuprofenu. Kobieta nie miała spuchniętych stawów i jak na swoje siedemdziesiąt kilka lat poruszała się bardzo sprawnie. Wysłuchując tego wszystkiego od Lacy, Millie nerwowo wykręcała dłonie. Lacy z miejsca zrozumiała, że tym, czego najbardziej brak Millie, jest czyjaś troska i uwaga, i przeczuwała, że będzie miała regularny kontakt z tą pacjentką.

- Sądzę, że można zwiększyć pani dawkę leku - powiedziała Lacy, głaszcząc kobietę po rękę. - Proszę brać na noc dodatkowo jedną tabletkę, będzie pani miała mniej kłopotu ze wstawaniem rano.

Lacy nie wiedziała tylko, czy Millie budzi się w pustym domu, czy ma jakąś rodzinę.

- I proszę się umówić na wizytę za tydzień.

- Dziękuję, kochanie - odparła Millie. - Mamy teraz sezon na czarne borówki. Próbowalaś wczoraj borówek Sally Dunbar, prawda? Ale są też czereśnie. A ty co wolisz, kochanie?

- Słucham? - spytała Lacy, marszcząc czoło. -Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem.

- Doktorowi Washbumowi piekłam zawsze placek owocowy. Może też być z brzoskwiniami, jeżeli wolisz brzoskwinie.

- Mogą być brzoskwinie - rzekła Lacy.

Ciężarówka w zamian za szwy, cielak za wizytę domową i placek owocowy za badanie - całe szczęście, że miasto płaci jej pensję i nie musiała liczyć na pieniądze' od pacjentów.

- Jest jeszcze jedna osoba przed lunchem - oświadczyła Willie Pearl, kiedy Lacy odprowadziła Millie Ballard do wyjścia. - Ale tu możemy się nie obejść bez doktora.

Dziesięcioletnia dziewczynka miała poważną infekcję ucha. Lacy mogła dać jej maść i coś doradzić, ale dziecko wymagało silnego antybiotyku, a to już wykraczało poza kompetencje pielęgniarki.

- Poproszę doktora Suttona, żeby wpadł do państwa dziś po południu - rzekła do podenerwowanej matki.

- Przyniesie ze sobą lekarstwo. Na razie proszę jej podawać dużo płynów. - Dziewczynka miała bardzo wysuszoną skórę. Lacy poznała po tym, że jest zapewne odwodniona.

- Dostanę cukierka? - spytała dziewczynka.

- Nawet dwa - odparła Lacy. - Ale musisz też wypić trochę wody. Obiecujesz mi?

Dziewczynka popatrzyła na pielęgniarkę i posłała jej słaby uśmiech.

- Obiecuję.

- Powinien tu być - rzuciła Lacy, opadając na krzesło w pustej już poczekalni. Zbliżało się południe, zaczynała być głodna. - Mamy jakichś pacjentów po południu? Ilu?

- Dwóch, ale później. Infekcja zatok i ból brzucha.

- Willie Pearl zatrzasnęła księgę rejestracyjną i wstała.

- Pójdiesz ze mną na lunch?

- Dobry pomysł - odparła Lacy. - Daj mi parę minut, żebym się ogarnęła.

Myjąc się pod silnym strumieniem wody, Lacy usłyszała jakieś pokrzykiwania w poczekalni. Od razu otworzyła drzwi. Dwóch młodych mężczyzn ciągnęło za sobą trzeciego, posadzili go na krześle.

- Bardzo go wzięło tym razem - poinformował jeden z nich. - Nie popuści, choćby nie wiem co.

- Kto? - spytała Lacy, stanąwszy obok niezapowiedzianych gości.

Dwaj kompani wymienili zdumione spojrzenia, jakby Lacy powinna to wiedzieć. Potem popatrzyli na Willie Pearl, która uniosła ramiona w geście wymuszonych przeprosin.

- Mówiłam wam, że najwyższy czas pozbyć się Wilbura, ale kto by mnie słuchał. - Sięgnęła po torebkę i odmaszerowała do wyjścia. - Do zobaczenia, Lacy, jak się uporasz z Wilburem.

- Który z was to Wilbur? - spytała Lacy, przypuszczając, że to mężczyzna z nogą obwiązaną ręcznikiem.

No i to on się odezwał.

- Ja jestem Danny Roy Jackson, a to moi bracia, Bobbo i Elvis.

Lacy nie spuszczała wzroku z ręcznika, spod którego zaczęło się wyłaniać coś na kształt węża.

- Co to ma być?! - krzyknęła, cofając się.

- Wilbur - odparli mężczyźni zgodnym chórem. Cofając się jeszcze o krok, Lacy zapytała:

- A co to jest?

- Wąż. Zwykły, ogrodowy, niejadowity - rzekł Elvis i dla udowodnienia swoich słów zdjął ręcznik z nogi Danny'ego i pokazał

Wilbura w pełnej krasie. Wąż najwyraźniej zatopił swoje zęby w dużym palcu mężczyzny. - Żyje sobie na ścianie, a czasem złazi i poluje na myszy albo kładzie się na parapecie i opala, ale chyba nie złapał nic na śniadanie, bo przyczepił się do palucha Danny'ego i nie chce go puścić.

- A co ja mam niby zrobić? - spytała Lacy, stając po drugiej stronie pokoju.

- Kazać mu się zabierać - powiedział po prostu Bobbo. - Danny'ego już rozboleł paluch jak cholera.

- Tylko żeby mu pani nie zrobiła krzywdy - dodał Danny. - Jeśli chodzi o łapanie myszy, jest lepszy niż dwa koty.

Lacy przypomniała sobie dwa nowe kociaki, które wkrótce miały się znaleźć w jej domu, i cieszyła się, że Ham nie wybrał jakichś gadów na podarunek.

- A zazwyczaj to kiedy on puszcza palec? - spytała.

- Jak mu się śpiewa, psze pani. To go najbardziej relaksuje - odparł Elvis. - Uwielbia country.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jackowi wystarczyło oddalenie od Lacy, żeby mógł swobodniej oddychać. Po telefonie Lacy poszedł do dziewczynki z zapaleniem ucha, potem wymoczył obolałe mięśnie w gorącej wodzie, spędził wyczerpujące pół godziny na podnoszeniu nogi i od razu poczuł się lepiej fizycznie i psychicznie. Z niecierpliwością niemal wyczekiwał popołudniowego dyżuru w gabinecie. Ale tylko do chwili, kiedy skręcił za róg i zmuszony był nacisnąć hamulce, żeby nie wpaść na tłum gapiów zebranych przed przychodnią.

- O, nie - mruknął, zaciskając powieki i spuszcżając głowę. - Co ona znów zrobiła?

Nacisnął klakson. Zebrani raczyli go zauważyć, ale i tak posuwał się do przodu centymetr po centymetrze. W końcu zajechał obok znaku z napisem „Lekarz”.

- Co się tu dzieje? - zwrócił się do burmistrza Lamberta.

- Dzwoniliśmy do pana, ale nikt nie odpowiadał - rzekł burmistrz z zadyszka. - A pańską komórkę ma Lacy. - Jego twarz była czerwona i pokryta kropelkami potu. Miał przewieszony przez ramię megafon.

Jack objął wzrokiem tłum i szybko policzył. Mogło tam być z sześćdziesiąt do siedemdziesięciu osób!

- Ona ma moją komórkę?

- Tak jest, i gdzie dzwoniła, niech pan zgadnie? - Twarz burmistrza przeciął szatański uśmieszek. Potem burmistrz huknął, zanim Jack zdołał podjąć próbę odpowiedzi: - W jej łóżku, doktorze. Pod kołdrą.

- No świetnie. I pewnie całe miasto już wie... - Jack zostawił za sobą burmistrza i przepychał się przez tłum. Po drodze kilka razy słyszał, jak ktoś szepcze jego nazwisko, i jeśli się nie mylił, widział wokół siebie skrzywione z dezaprobatą twarze. Najgorsze było to, że nie wiedział, czym sobie na to zasłużył. Przeklęta prowincja!

- Niech pan uważa! - krzyknął burmistrz przez megafon, gdy Jack przecisnął się w końcu do drzwi.

Jack przystanął i odwrócił się.

- Co się tam dzieje?! - odkrzyknął.

Hałaśliwy tłum zamilkł, pogłębiły się zmarszczki na twarzach.

Burmistrz wzruszył ramionami, zbliżył się i wepchnął Jacka do środka. Zanim zamknęły się za nim drzwi, Jack usłyszał jeszcze, jak burmistrz grzmi przez megafon:

- Doktor jest już w środku, uciszcie się. Niech matki trzymają przy sobie dzieci.

- O rany... - mruknął Jack, wszedłszy do poczekalni.

Najpierw dotarły do niego dźwięki, była to popularna przed dwudziestu laty piosenka country, ale nie płynęła bynajmniej z radia ani z kompaktu. Przed drzwiami łazienki zgromadził się dwudziestoosobowy chór, prowadzony przez natchnionego dyrygenta. Głosy unosiły się w idealnej harmonii. Upłynęła cała minuta, zanim Jack zdał sobie sprawę, co przed sobą widzi.

- Co to za ludzie? - spytał Hama, który stał przy schodach z siekierą. -I po co ci ta siekiera?

W odpowiedzi Ham tylko mocniej ścisnął trzonek i wbił wzrok w chórzystów.

Idąc dalej, Jack zobaczył Danny'ego Roya, Bobbo i Elvisa, którzy siedzieli na podłodze z puszkami piwa i przytupywali w rytm muzyki. Nie znał ich i nie miał ochoty poznać. Ruszył ku Willie Pearl, która siedziała na biurku, kołysząc się w przód i w tył w absolutnie własnym, nie mającym nic wspólnego z melodią rytmem. Miała pobladłą twarz i zdawało się, że straciła mowę.

Jack poznał jeszcze kilka osób wśród stojących jak pomniki gapiów. Wszyscy mieli wybałuszone oczy i milczące usta. Byli zasłuchani, jak stali bywalcy popołudniowych koncertów country w gabinetach lekarskich.

- Gdzie Lacy? - spytał w końcu Jack.

Nie doczekał się odpowiedzi. Uciszano go, przeszkadzał w koncercie.

- Pytam, gdzie jest Lacy?

Wszystkie palce wskazujące zgodnie wymierzyły w łazienkę, a Jack poszedł za ich wskazaniem. Kiedy zbliżył się do zamkniętych drzwi, śpiewacy rozstąpili się. Pchnął drzwi i zobaczył Lacy na podłodze. Śpiewała tę samą piosenkę co chór, a po jej policzkach spływały łzy jak groch.

- Lacy? Co się stało? - Zrobił dwa kroki do przodu i wtedy przekonał się, że Lacy nie jest sama. Na jej kolanach leżał zwinięty wąż; z zębami wbitymi w jej lewe przedramię.

- Wilbur... - odezwała się przez łzy - lubi country.

- Country? - Jack objął ją ramieniem. - To pewnie najgłupsze pytanie wszech czasów, ale powiedz: czy cię to boli?

Lacy skinęła głową i pociągnęła nosem.

- Sądziłem, że węże są głuche.

- Może on czuje wibracje. - Uśmiechnęła się słabo. - I akurat pasuje mu country.

Jack przytulił ją mocniej.

- Rozumiem, że nie możemy wziąć skalpela.

- Nie. To domowe zwierzątko.

- Krowy jeszcze mogą być, ale węże są wykluczone. Wprowadzam to do regulaminu naszej przychodni. Nie leczymy węży. Zgoda?

- Zgoda. - Patrzyła, jak Jack chwytą węża pod jamą gębową. Oto wszechstronnie utalentowany człowiek, pomyślała.

Po chwili Jack wręczył Wilbura młodemu Prestonom, a ci wynieśli go na zewnątrz i zaprezentowali wiwatującemu tłumowi. Chór kongregacjonalistów wyszedł za nimi w euforii. A gdy rozeszła się wieść, że Wilbur, Danny Roy i Lacy mają się dobrze, wszyscy rozeszli się do swoich zajęć, które zazwyczaj wypełniały im popołudnia. Ham cisnął siekiere do bagażnika pikapa i pojechał do matki. Willie Pearl wróciła dokończyć lunch przerwany, kiedy to Elvis wkroczył do kafejki, oznajmiając:

- Wilbur odczepił się od Danny'ego, ale teraz wczepił się w pannę Lacy i nijak nie da się ich rozdzielić.

- Co się, u diabła, stało? - spytał Jack, nakładając antybiotyk na ramię Lacy. Skoro wąż nie był jadowity, Jack nie widział potrzeby poważniejszej interwencji. - I skąd wzięło się tu całe miasto?

- Chyba myśleli, że to Danny, a nie Wilbur, wczepił się we mnie.

- No tak, to działa na wyobraźnię.

- Ależ wstyd.

- Jeśli ci wstyd, to musisz jeszcze wyjaśnić, skąd wziął się mój telefon komórkowy w twoim łóżku. Uprzedzam cię, że to następna rewelacja Sunstone. - Roześmiał się i założył opatrunek. - Za kilka dni wszystko zniknie i zostaną ci tylko słodkie wspomnienia.

- Milcz. Gdybyś tu był, tak jak powinienes....

- Przecież ćwiczyłem. - Jack wziął od Lacy zebrane przez nią brudne waciki i wyrzucił je do pojemnika po drugiej stronie pokoju.

- Śmiertelnie się bałam - przyznała. - A teraz zostanę jeszcze upokorzona.

Siadając za swoim biurkiem, Jack otworzył dolną szufladę i wyjął z niej butelkę brandy i dwa jednorazowe kubki. Nappełnił jeden z nich do połowy i podał Lacy. Do drugiego nalał dwa razy więcej i schował butelkę. Przyglądał się, jak Lacy pije pierwszy łyk. Nie była snobką, pociągała z papierowego kubka i wyglądała przy tym równie elegancko, jak z kryształowym kieliszkiem w dłoni.

- Ale po co był ten chór? Rozumiem... Ham z siekierą, rozumiem, że Willie Pearl tańczyła na biurku, ale chór? - Zgniół kubek i cisnął go do śmieci.

- Pastor powiedział, że pierwszy raz w historii Sunstone wezwano chór na pomoc w nagłym wypadku, i czują się tym zaszczytzeni.

- Cały cholerny chór - śmiał się Jack. - Jestem pod wrażeniem.

Kiedy brandy w kubku Lacy została wypita, okazało się, że poczekalnia pęka w szwach. Willie Pearl odniosła sukces, odstrasząc kilku pacjentów podczas lunchu, a siedmiu szczęśliwców zapisała na serwetkach na popołudnie.

O dziwo, popołudnie minęło bez niespodzianek. Ku ich wielkiemu zaskoczeniu Miku pacjentów zapłaciło gotówką. Oczywiście, były też świeże warzywa, pled, zaproszenia na obiad i taczka. Pod koniec dnia, kiedy pozbyli się pacjentów i prezentów, Lacy poczuła, że nadaje się tylko do łóżka. Była dopiero szósta.

- Za parę dni zaczną urządzić twoje mieszkanie - rzekła Willie Pearl na pożegnanie. Wyglądała tak, jakby mogła spokojnie przepracować kolejne osiem godzin, wzbudzając zazdrość Lacy.

- Ma randkę z Palmerem - powiedział Jack, wychodząc z gabinetu. - Pytała, czy pójdziemy z nimi na pizzę i piwo za dwie godzinki. Oczywiście, zgodziłem się.

- Baw się dobrze - westchnęła Lacy. - Ja padam z nóg. - Ledwo doczłapała do łóżka i padła twarzą w pościel. - Idź - powiedziała jeszcze cienkim głosem. - Zostaw mnie w spokoju.

- Ale to ciebie lubią. - Upuścił laskę na podłogę, pochylił się i przewrócił Lacy na plecy. - Ciebie chcą tam widzieć.

Była tak zmęczona, że poddała się jego rękom. Niestety, wiedziała też, że ma jedną jedyną sieć ratunkową - fizyczny i psychiczny dystans.

- No to musisz udawać, że jesteś mną. Bądź dla nich miły i nikt nie zauważy różnicy.

Jack tymczasem zrzucił buty i wyciągnął się obok Lacy.

- Prześpij się chwilkę, uzgodnimy wszystko, jak się obudzisz.

- Tylko parę minutek - mruknęła. Trzymał ją w ramionach. Słyszając jego oddech przed zaśnięciem, poczuła wargi Jacka na swoim czole.

- Jak się teraz czujesz? - spytał, patrząc na nią kątem oka.

Spała dwie godziny, bardzo niespokojnie. Wierciła się, mruzczyła coś przez sen, aż Jack w końcu wyśliznął się z łóżka, licząc, że Lacy wyśpi się lepiej, mając więcej miejsca. Kiedy szturchnął ją łokciem, żeby ją obudzić, wyglądała na dwa razy bardziej wykończoną niż w chwili, gdy zasypiała.

Ale żadne zmęczenie nie doprowadziłoby jej do takiego stanu. Przez dwie godziny śniła wciąż o jednym, i sen ten tłukł jej się po głowie w

rozmaitych wariacjach. Jack odjeżdżający na koniu na tle zachodu słońca, Jack w swoim dziupie. Potem ona: wpada do gabinetu, gdzie czeka na niego godzinami, po czym znajduje napisaną pospiesznie pożegnalną kartkę. Albo czeka na niego godzinami i zdaje sobie sprawę, że on odjechał bez pożegnania. Te dwie godziny snu nie pozwoliły jej odzyskać sił. Zaczęła się zastanawiać, czy we własnym zawodowym interesie nie powinna zabrać się aktywnie do poszukiwań nowego lekarza dla Sunstone, żeby nie musiała znowu leczyć swojego złamanego serca.

- Jack, jednak nigdzie nie pójde - oznajmiła.

Niezależnie od tego jechała po chwili do gospody tuż za granicę hrabstwa, żeby zjeść pizzę, na którą nie miała chęci, i wypić piwo, na które nie miała ochoty. Jack, jak zwykle, okazał się mistrzem perswazji.

- Uważam, że dobrze ci zrobi, jak oderwiesz się od pracy na dwie godzinki.

- Nie masz pojęcia, czego mi trzeba, i... - Przeniosła wzrok na krzaki, które ciągnęły się wzdłuż drogi. W pewnej chwili coś ją oślepiło, zmrużyła oczy i spojrzała znowu.

- Zatrzymaj się - rzuciła. Podniosła się i spojrzała za siebie. - Cofnij. Widzisz to? - Zanim zatrzymał auto na poboczu, Lacy otworzyła drzwi i wyskoczyła.

Kręcąc głową, Jack wziął laskę i ruszył za Lacy. W międzyczasie znowu padało, na jezdni woda i olej tworzyły śliskie kałuże. Trawa też była śliska. Walcząc ze swoją niedyspozycją i zewnętrznymi przeciwnościami, Jack włókł się wyjątkowo powoli. Kiedy dotarł wreszcie do Lacy, znalazł ją odgarniającą liście i gałęzie, które przykrywały jakiś pagórek pięćdziesiąt metrów od drogi.

- To samochód! - krzyknęła. - Ktoś jest w środku.

Niewiele myśląc, Jack odrzucił laskę i ruszył z prędkością, której się po sobie nie spodziewał. Stanął po drugiej stronie, zaczął odrzucać gałęzie i po paru minutach ujrzeli przed sobą wgnieciony czerwony samochód.

- Jak się pan czuje?! - krzyknął Jack do uwięzionego kierowcy.

Potężny mężczyzna w średnim wieku potrząsnął głową i pokazał na klatkę piersiową.

- Serce?! - zawołał Jack. Mężczyzna skinął słabo i zamknął oczy.

- Musimy go wyciągnąć! - krzyknął Jack, oglądając zamknięte drzwi.

Mężczyzna z trudem łapał oddech. Lacy podbiegła do drzwi od strony pasażera - też były zamknięte, ale po drodze zauważyła, że bagażnik z tyłu nie ma zamka.

- Już! - krzyknęła, wdrapując się do wozu przez tylną klapę. - Jestem pielęgniarzką - powiedziała, czołgając się do przodu. Sięgnęła za plecami mężczyzny i otworzyła drzwi, potem odpięła jego pas. - Jak pan się nazywa?

Kierowca tylko pokręcił głową.

- Potem to sprawdzimy.

Jack badał już puls chorego, marszczył brwi.

- Ma pan jakieś leki nasercowe przy sobie? - spytała Lacy.

Mężczyzna przytaknął.

- Gdzie?

- Lacy, idę do dżipa - powiedział Jack. - Zaraz wracam, za sekundę.

Czym prędzej powtórzyła pytanie:

- Gdzie są pańskie leki?

Mężczyzna podniósł dłoń i trzymał tak chwilę, a potem opuścił.

- Co się dzieje?! - zawołała.

Nie odpowiedział. Lacy przycisnęła palce do tętnicy na jego szyi. Tętno i oddech urwały się raptownie, w tej samej chwili. Niezwłocznie zaczęła mu robić masaż serca. Wiedziała, że to boli jak diabli, ale czasem pozwala pacjentowi przeżyć. Kiedy jednak zdjęła dłoń z piersi mężczyzny i sprawdziła ponownie tętno, niczego nie wyczuła.

Wysiadła, okrążyła biegiem samochód i zaczęła wyciągać mężczyznę na zewnątrz.

- Jack! - krzychała. - Zatrzymana akcja serca!

Biegając do nich, Jack zobaczył, że Lacy jednym pociągnięciem wywleka ciężkie ciało i sama ląduje przy okazji w błocie.

- Zadzwońm po karetkę.

- To był moment - wydyszała, usiłując wydostać się spod ciężaru. - Zrób mu sztuczne oddychanie.

Jack osunął się na kolana. Zderzenie z ziemią nie było przyjemne.

- Nic ci nie jest? - spytała, przygotowując się do ucisku klatki piersiowej mężczyzny.

- Spytaj mnie o to rano - odparł Jack, wyjmując z torby plastikową rurkę, którą wepchnął w usta mężczyzny. Zrobił kilka głębokich wdechów i z ulgą zobaczył, że klatka piersiowa ofiary zaczyna się unosić. -Znalazłaś lekarstwo? - spytał.

- Nie miałam czasu - odparła Lacy.

- Przerwij na chwilę - Jack wyczuł powracające tętno, przyłożył słuchawki do serca mężczyzny. - Kontynuuj. Już!

Lacy zaczynały boleć ręce. Poprosiłaby Jacka, żeby zamienili się miejscami, gdyby nie fakt, że klęczał już parę minut.

- Nie masz czasem przenośnego defibrylatora?

- Puść! - zawołał, sięgając znowu po stetoskop, a Lacy nie mogła odgadnąć po jego minie, czy ma dobre, czy złe wiadomości. Pierwszy raz znalazła się z Jackiem w podobnej sytuacji, nie знаła jego zachowań ani reakcji. - Wracaj do nas - oświadczył wreszcie. - Możesz przestać.

Lacy podniosła wzrok z cichym podziękowaniem.

- Dobra robota - powiedziała z westchnieniem.

- Ja tylko oddychałem, ty zrobiłaś wszystko.

Dokładnie pół godziny po tym, jak Lacy zobaczyła oślepiający błysk, Jack zatrząskiwiał drzwi karetki i patrzył, jak rusza w noc. W międzyczasie pojawili się też strażacy i kilku gapiów z miasta. A kiedy zebrał się już cały tłum, kierowca, którym okazał się John Fremont, właściciel domu, w którym Jack i Lacy mieli gabinet, dziękował im wylewnie.

- Powiedział, że jutro z samego rana każe swoim prawnikom zająć się przekazaniem ci tego budynku - rzekł Jack, pomagając Lacy wspiąć się do dżipa.

- Mnie? Dlaczego mnie?

- Bo ty tam zostajesz. - Jack zgarnął koc z tylnego siedzenia i owinał nim Lacy. Potem nachylił się i czule pocałował ją w policzek, a następnie, równie czule, w usta. - Tworzymy zgrany zespół - szepnął.

Lacy zamknęła oczy i odpłynęła z rzeczywistości do chwili, gdy samochód zaparkował przed domem Jacka.

- Mieliśmy jechać na pizzę i piwo.

- Dziś wieczorem zasłużyłaś na spokojniejsze miejsce niż przydrożna gospoda i bardziej intymne niż poczekalnia. - Otworzył drzwi samochodu i trzymał ją za rękę, kiedy wysiadała. Widział, że jest kompletnie wyczerpana.

Była blada, nerwowo ścisnęła dłonie, patrzyła nieobecny wzrokiem, w którym nie było żadnej iskry.

- Wypijesz kieliszek wina i wyśpisz się w prawdziwym łóżku w prawdziwej sypialni.

- Muszę zadzwonić do Willie Pearl i dać jej znać, gdzie jestem...

- Ja to zrobiłem.

- I do pani Glover - spytać, jak ucho Emily...

- Zostaw to mnie.

- Ido Millie Ballard...

- Jutro, Lacy. Dzisiaj lekarz zaleca ci odpoczynek.

- Poprowadził ją po drewnianych stopniach, żałując, że nie może wziąć jej na ręce.

Sięgnął po klucze, których nie trzymał razem z kluczykami do wozu, ponieważ nie był to jego własny dom. Miał dziwne wrażenie, że gdyby połączył te klucze, dałby losowi do zrozumienia, że w chwili słabości rozważa pozostanie w Sunstone. Rozdzielił więc własne życie i te klucze, a teraz, kiedy bezskutecznie szukał ich po raz trzeci w kieszeni spodni, przeklął siarczyście. Klucze do domku zginęły.

- Nie ma? - spytała Lacy, opadając na krzesło, duże i wygodne, z grubą poduszką.

- Na pewno mi wypadły, jak ratowaliśmy Fremonta.

- Nie masz zapasowych?

- W domku - mruknął.

Lacy uśmiechnęła się, wstała i zeszła ze schodków. Wgramoliła się do auta, zabrała koc i wróciła z nim na krzesło.

- Obudź mnie, jak coś się wyjaśni.

Noc była ładna, choć nie nazbyt gorąca jak na lipiec. Z pobliskiego stawu dochodził żabi koncert, który przynosił kojące nuty. Odpływając w sen, Lacy zastanawiała się, ile z tych żab znajdzie tej nocy prawdziwą miłość.

- Chyba śpi.

- Ciii. Po co ją budzić.

Głosy przenikały sen Lacy. Siedziała nad stawem z kieliszkiem wina...

- Nie ślini się, ani kropelki.

- Ciii....

Jack też tam był i też sączył wino. Siedzieli na kocu, noc była jasna, niebo gwiazdziste nad nimi...

- Doktor mówił, żeby jej nie przeszkadzać. Elvis, trzymaj gębę na kłódkę.

- Mówię tylko, że się nie ślini.

Głos Elvise Presleya mieszał się z żabią piosenką.

- Wy dwaj lepiej się zamknijcie - szepnął Danny Roy. Elvis... Nie ten Elvis. Raptem Lacy zamrugła powiekami i ujrzała nad sobą trzy sylwetki.

- Gdzie jest Jack? - spytała.

- Emily Glover się pogorszyło - wyjaśnił Elvis. -Przyszliśmy otworzyć dom i doktor prosił, żebyśmy zostali, aż wróci.

Lacy usiadła i rozejrzała się. Wciąż była na dworze.

- Pilnujecie mnie? - spytała, przesuwając się na brzeg krzesła.

- Nie całkiem, psze pani. Tylko mamy na wszystko oko. - Bobbo zaświecił jej w oczy latarką. - Marnie pani wygląda, doktor miał rację.

Lacy zmrużyła oczy, odwróciła się i popatrzyła na dom. Drzwi frontowe były szeroko otwarte.

- To czemu jeszcze tu jestem, skoro dom już otwarty? Przecież...

- Smacznie pani spała - oznajmił Danny Roy.

- I wcale się pani nie śliniła - dodał Elvis. Danny Roy przeszył go piorunującym spojrzeniem.

- Jak długo nie ma Jacka? - spytała.

- Prawie godzinę - odparł Bobbo.

- A wy patrzyliście przez godzinę, jak śpię? - Zrzuciła koc i pospieszyła do domu.

- Nie, psze pani - odparł Bobbo. - Całe pięć minut męczyliśmy się z tym zamkiem.

- I wcale pani nie chrapie - wtrącił Elvis. Lacy weszła do środka, obracając się w progu.

- Możecie już iść, jestem wam bardzo wdzięczna za wszystko. - Prócz tego, że się na mnie gapili przez godzinę bez pięciu minut, dodała w myśli. - Dobranoc.

Trzej bracia unieśli palce do daszków swoich czapek. Kiedy Lacy zamykała drzwi, słyszała stukot silnika odjeżdżającej furgonetki. Pędzili jak wariaci, a żwir uderzał o pordzewiałe błotniki, i zapewne przerzucali się dowcipami na temat jej chrapania i ślinienia się przez sen. Widząc sofę, przysięgła Jackowi zemstę. Ale sofa była obszerna i miękka i Lacy z miejsca o wszystkim zapomniała.

Spała przez dziesięć minut. Walenie do drzwi uświadomiło jej, że to pewnie ostatnie dziesięć minut jej snu tej nocy.

- Jak Emily? - spytała Jacka, otwierając mu.

- Podskoczyła jej temperatura, ale już opada. Teraz mała odpoczywa.

- Jak śmiałeś zostawić mnie na ganku z tymi zaklinaczami węży? -
Począpiała do kuchni, otworzyła lodówkę. Szukała czegoś zimnego do picia i jakiejś przekąski. Znalazła butelkę wody i jabłko, nie obchodziło jej, czy to ostatnie jabłko Jacka i jego ostatnia butelka wody. Siadła ciężko na sofie i podwinęła nogi, żeby przypadkiem nie przysiadł się do niej. - Budzę się i widzę nad sobą Elvisa, który stwierdza, że nie ślinię się przez sen.

- Miło mi to słyszeć - rzekł Jack, chichocząc. Lacy ugryzła jabłko i popiła łykiem wody.

- Powinieneś był mnie obudzić. - Ugryzła następny kęs i wytarła sok ciekący po brodzie. - Jak byś się czuł, gdybyś się zbudził, a nad tobą stałaby połowa mieszkańców Sunstone?

- Na przykład Cherie? - Z przyjemnością patrzył, jak Lacy gryzie jabłko, z jakąś siłą i prostotą. - Wpadła tu, żeby się ze mną zobaczyć. I tak kręciła biodrami, że trafiła prosto do mojego łóżka.

- Nago? - Lacy wytrzeszczyła oczy.

- Pytasz o Cherie czy o mnie?

- O oboje. - Mocniej wbiła zęby w owoc.

- Jedno z nas było nagie, drugie nie.

- Które?

- Przejmujesz się tym?

- Jestem ciekawa. - Skończyła jabłko i podała Jackowi ogryzek.

Wyrzucił go, podniósł jej butelkę i przytknął do ust.

- Ona lubi młodszych facetów - podjęła Lacy.

- Nie miała na sobie bielizny. - Jack przesunął nogi Lacy i siadł.

- Czyli to ty. - Wyciągnęła nogi na jego kolanach. - Ty byłeś nago.

- To mój dom. - Popatrzył na jej białe skarpetki, potem zsunął je z jej kostek. Miała szczupłe kostki. Potem wziął jej lewą stopę i zaczął ją masować. - Mogę chodzić nago, kiedy chcę.

Miękki mebel wydał jej się nagle potwornie niewygodny.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Jesteś zadowolony ze swojego życia, Jack? Lubisz swoją pracę w wielkim mieście i apartament z widokiem na jezioro Michigan?

- Tego zawsze chciałem. Pierwszego dnia studiów nakreśliłem sobie cel, a potem trzymałem się planu.

- Jack oparł nogę na podnóżku. Wrócił pulsujący ból, ale z każdym dniem noga wyglądała lepiej. Oczekiwał, że za tydzień powinien mieć już spokój, a zaraz potem zamierzał ruszać do domu. Od chwili wypadku na polu golfowym myślał tylko o powrocie do pracy. Teraz, kiedy się do tego zbliżał, gdy jego życie miało wrócić na dawne tory, zdawało mu się, że dzieje się to za szybko. - To nie jest złe życie - bronił się. Ale jego słowa były puste.

Lacy usiadła, rozpięła jego dzinsy.

- Może nie, lecz ja oczekuję, że moje będzie fantastyczne. Długo żyłam znośnie i liczę na to, że w Sunstone to się radykalnie odmieni. Ale nie jestem tobą - oznajmiła, starając się, żeby jej głos był głosem rozsądku.

Jack uniósł się lekko, żeby mogła łatwiej zsunąć mu spodnie.

- Wiem jedno, Lacy. Nie chcę zarabiać na życie, biegając po cudzych domach i odbierając cielaki. To mogło odpowiadać twojemu dziadkowi albo Washburnowi, ale nie mnie. - Patrzył, jak spodnie lądują na krześle.

Przyklękając obok sofy, Lacy przypatrywała się bliźnie na kolanie Jacka.

- Stan zapalny wyraźnie znika. Opuchlizna też. -Przesunęła palce wzdłuż blizny i podniosła wzrok. -Ale to dobre marzenie, prawda?

- Dla ciebie bardzo dobre.

Pochyliła głowę i dotknęła jego blizny wargami. Nic więcej się nie wydarzy. Trzeba brać, co jest. Myślała tak po raz pierwszy w życiu. Twój wybór, powiedziała jej Willie Pearl. Jack czekał na nią.

- Chciałbyś dokończyć dzisiejszą sesję ćwiczeń w wannie z masażem?

- Nie - odparł. - Zróbmy to w gorącej kąpieli.

- Na co tak patrzysz? - spytała Lacy leniwie po dłuższej chwili. Powieki jej opadały, ciepła mgiełka unosząca się nad wanną sprzyjała senności.

- Powiedzmy, że na cienie pod twoimi oczami - rzekł, przeciągając się. Powiedzmy jednak, że wpatrywał się w kobietę, z którą chciał spędzić resztę życia.

- Jeśli dobrze się przyjrzyysz, zobaczysz nawet zmarszczki - odparła, zapadając się głębiej.

- Jeśli dobrze się przyjrzę, to nie po to, żeby szukać zmarszczek. - Bardzo mu się podobała w jedwabnych bokserkach, a jeszcze bardziej w jego własnym T-shircie.

Słyszając jego westchnienie, Lacy podniosła powieki.

- Czy tak właśnie podrywasz swoje pielęgniarce? Każesz im zaharowywać się na śmierć, a potem wrzucasz je do gorącej wody?

- Żadna się dotąd nie skarżyła. - Jack sięgnął po kieliszek wina Lacy. - Chociaż nie. Jedna bardzo nad tym ubolewała. Ma sześćdziesiąt dwa lata, pięcioro wnuków, tego samego męża od czterdziestu lat i moje chwyty na nią nie działały.

- Nie masz wstydu, Jack - zaśmiała się Lacy. Urwała i zapatrzyła się na wodę. - Czterdzieści lat. Wyobrażasz sobie życie z jedną i tą samą osobą przez taki szmat czasu?

Dotąd nie, pomyślał, mówiąc na głos:

- Nie wyobrażam sobie nawet czterdziestu godzin.

- Nie rób z siebie takiego potwora. Założę się, że dałbyś radę nawet czterdzieści osiem.

- Godzin czy dni? - Z kieliszkiem w ręku, Jack z nagłą przesunął się w wannie, aż znalazł się u boku Lacy, mocno przyciśnięty. Lacy nawet nie drgnęła, kiedy objął ją ramieniem.

- A ty byłąbyś gotowa na czterdzieści wspólnych lat? Tylko szczerze...

- Z właściwym człowiekiem tak - powiedziała i położyła mu głowę na ramieniu. Zamknęła oczy. Po raz pierwszy, odkąd poznała Jacka, pozwoliła sobie na tak kompletny relaks. Żadnego sprzątania, żadnych pacjentów. Żadnej Willie Pearl, która musztruje niczym sierżant. Świat ze wszystkimi problemami oddalił się o miliony kilometrów.

- A jaki jest twój ideał?

- Ktoś, kto żyje z pasją. Kto... - Szukała właściwego określenia, słów innych niż „ktoś taki jak ty”, które zresztą nie przeszłyby jej przez gardło. - Ktoś, kto nie mierzy sukcesu wielkością swojego konta w banku czy wynikami w golfa, ale kto ma dobre serce.

Jack mrugnął nerwowo.

- Ciężko trenowałem na polu golfowym.

- Co dało ci więcej satysfakcji? Golf czy to, co zrobiłeś dotąd w Sunstone? - Popatrzyła mu prosto w oczy, żeby znaleźć w nich to, czego tak mocno pragnęła.

Jack próbował zignorować jej badawczy wzrok, ale mu się to nie udawało. Pobyt w tym mieście miał trwać jeszcze parę dni, tyle też mógł trwać jego związek z Lacy. Myślał nad tym, próbował połączyć jakoś swoje miasto z tą prowincją, niestety, nie znalazł żadnego połączenia.

- To tak, jakbyś kazała mi porównać jabłka i pomarańcze - mruknął niezadowolony. - A przecież jedno nie ma z drugim nic wspólnego.

- No ale gdybyś musiał wybrać?

- Wybrałbym to. - Odstawił kieliszek i przytulił ją, wino z jej kieliszka polało się po jej ręce. Wędrował wargami wzdłuż winnej ścieżki, smakując każdą kroplę. I nawet kiedy jej ręka pozbyła się już słodczy wina, Jack nie przerywał, a Lacy mu nie przeszkadzała. -Mógłbym być tym właściwym człowiekiem? - spytał, zaglądając jej w oczy. - Kiedyś?

- Tak - szepnęła, gotowa na jego pieszczoty, i przeniosła wzrok na wodę. - To mógłbyś być ty.

- Ale...

- Nie wiem, Jack. Wszystko sobie zaplanowałam.

- Tak jak ja? - spytał.

Skinęła głową i podniosła na niego wzrok.

- Tak jak ty.

- I dokąd nas to prowadzi?

- Do wanny z gorącą wodą w wynajętym mieszkaniu... - W pożyczonym na moment życiu, które trzeba będzie wkrótce oddać, myślała. Przytuliła się do niego, jakimś cudem pamiętając, żeby nie urazić jego kolana, i wbrew beznadziei, która zakradła się pomiędzy nich, a może z jej powodu, roześmiała się histerycznie.

Przycisnął wargi do jej warg, uciszył ją. Wyglądała już prawie tak, jak w jego marzeniach.

- Zdejmij to - powiedział, unosząc koszulkę na jej brzuchu. I kogo on chce oszukać? Nie wystarczy mu ta jedna noc w wannie z Lacy, życia mu nie starczy, żeby z nią być.

Lacy wstrzymała oddech, a kiedy koszulka pływała już na powierzchni wody, Lacy westchnęła tak głośno, aż się przestraszył.

- Chcesz coś? - spytał.

- Zdefiniuj to coś, zanim podejmę decyzję - odparła, mrużąc oczy.

- Coś znaczącego i ważnego - szepnął jej na ucho.

- Chcę wszystko - odparła zdecydowanie, całując go w kark.

Okazało się, że Lacy przyćmiewa wszystkie jego fantazje.

Lacy odzyskała swój kieliszek z winem, przechyliła go. Kropla za kroplą skapywały na pierś Jacka.

- Ale bajzel, Jack - żartowała, wcierając w jego skórę lepki, słodki płyn. - Chyba będę musiała posprzątać - stwierdziła, wydymając usta i, nie czekając, zamieniła swoje słowa w czyny.

Jack był kompletnie ubezwłasnowolniony, nie ruszał się prawie. Kiedy ostatnie ślady wina zniknęły z jego piersi i brzucha, Lacy spytała:

- Pomasować ci kolano?

W myślach Lacy niemożliwą przyszłość zastąpiła dostępna właśnie chwila, a zdobywanie Jacka w tej chwili było równie nowe i przyjemne, co jej uczucia dla niego. A kiedy poczuła pod powiekami łzy, była pewna, że nie jest to tylko burza hormonów, ale coś znaczącego i ważnego.

Lacy wygrzebała się z pościeli i usiadła. Po wspólnej kąpieli z Jackiem wszystko się wyciszyło, jakby było tylko miłym przerywnikiem. Zasnęli

objęci, a potem przez kilka dni unikali się nawzajem jak zarazy. Jack jeszcze nie wyjechał, a ona miała już nadłamane serce. Dystans był dla niej jedynym ratunkiem.

Ten dzień zapowiadał się wyjątkowo pracowicie, dziewięciu pacjentów przed południem, dziesięciu po lunchu. Dość, żeby nie mieć czasu na głupie myśli. Rano Lacy powlokła się pod nowo zainstalowany prysznic, stała przez dziesięć minut pod gorącą wodą, czując się dogłębnie samotna, a potem zeszła powoli na dół, nastawiła kawę i czekała, aż zacznie się jej kolejny dzień.

- Już na nogach?! - zawołała ze schodów Willie Pearl. Do tej pory nie było drzwi, które separowałyby jakoś mieszkanie Lacy od gabinetu na dole, ale jej to nie wadziło. - Dzwoniłam do doktora, ale nikt nie podnosi słuchawki - ciągnęła Willie Pearl. - Ani jego komórka nie odpowiada, ani normalny telefon. Nie zapodziała się czasem znowu w twoim łóżku, co?

Lacy szczerze lubiła Willie Pearl, ale akurat nie była w nastroju na podobne rozmowy.

- Wczoraj wieczorem miałam ją ze sobą, kiedy poszłam do Emily Glover. Pewnie jest w samochodzie.

- To gdzie jest doktor?

Lacy zauważyła, że wzrok starej kobiety powędrował w kierunku jej łazienki, a potem przeniósł się na pokój.

- Nie widziałam go od wczoraj. - Lacy chciała, żeby to było kłamstwo, żeby Jack chował się właśnie w łazience albo w innym zakamarku. Ponura prawda była jednak inna.

- A co się dzieje? - spytała.

- Chodzi o Sally Dunbar. Ma jakieś skurcze.

- Jakie? Brzucha? Mięśni? - Lacy wyjęła z szafy parę dżinsów i dżinsową koszulę.

- Jest w trzecim miesiącu ciąży, dlatego nie mogła wam pomóc z Louise.

Lacy zakręciła się gwałtownie na pięcie.

- Może do nas przyjechać?

Willie Pearl pokręciła głową.

- Całe lata starali się z Benem o to dziecko, boi się ruszyć.

- Zadzwoń do nich i powiedz, że zaraz będę. - Lacy wciągała w pośpiechu ubranie. - Podzwoń i popytaj, czy ktoś widział dziś Jacka! - wołała, biegnąc przez kuchenne drzwi do samochodu. Postanowiła, że tego popołudnia kupi sobie telefon komórkowy.

Znała już drogę do farmy Dunbarów i tylko pomachała do szeryfa, który sygnalizował jej po drodze, że za szybko jedzie. Nie zamierzała ani zwalniać, ani zatrzymywać się.

- Jedź za mną, Lacy - usłyszała tymczasem głos szeryfa. - Willie Pearl kazała mi eskortować cię do Dunbarów. Powiedziała, że tym razem nie chodzi o krowę.

Lacy zwolniła, żeby dać się wyprzedzić szeryfowi, a kiedy wypuścił się naprzód, musiała mocno naciskać gaz, żeby za nim nadążyć. W ten sposób skrócili niemal o połowę dwudziestominutową podróż do domu Sally.

- Gdzie doktor?! - zawołał Ben na widok Lacy.

- Nie widziałam go dzisiaj - odparła, przepychając się obok niego do środka. - Żona jest na górze? - Przypomniał jej się pierwszy pobyt w tym domu i nerwowe poszukiwanie Louise.

- Drugie drzwi na prawo. - Ben został na dole i tylko śledził ją wzrokiem.

- Ona jest dobra - zapewniał szeryf, poklepując Bena po ramieniu. - Szkoda, że jej nie widziałeś, jak wczoraj ratowała Fremonta na autostradzie. Wyciągała go z tej jego puszki na sardynki, i to własnymi rękami.

Ben Dunbar skinął głową z oczami wbitymi w drugie drzwi na prawo na piętrze.

- Sally, co się dzieje? - Lacy postawiła torbę na szafce nocnej. - Kiedy zaczęły się skurcze?

- Ze dwie godziny temu. Nie były silne i nic Benowi nie mówiłam. Ale jeden był dużo gorszy. - Zerknęła na zegar na stoliku. - Jakaś godzinę temu. Przeraziłam się, kazałam Benowi dzwonić po pomoc. - Sally patrzyła na podłogę. - Wiem, że powinniśmy zadzwonić po panią, ale tak przywykliśmy do Willie Pearl, że straciliśmy głowę.

Lacy pogłaskała przestraszoną kobietę.

- Nie szkodzi. Willie Pearl zaraz dała mi znać. Który to miesiąc, Sally?

- Trzeci, może czwarty.

- Badał cię położnik? Sally pokręciła głową.

- Tak bardzo chcieliśmy tego dziecka... Bałam się, żeby nie okazało się, że coś jest nie tak.

- Masz teraz skurcze?

- Nie mam od dwudziestu minut.

- Krwawiłaś albo plamiłaś?

- Nie.

- Wymiotowałaś?

- Tak, trochę. Myślałam, że to te poranne mdłości.

Lacy zmierzyła jej puls i temperaturę, osłuchiwała płuca.

- Wszystko wydaje się w porządku - oznajmiła, przygotowując Sally do mierzenia ciśnienia. - Masz trochę podwyższone ciśnienie - powiedziała, wyciągając słuchawki z uszu. - Miałaś kiedyś problemy z ciśnieniem?

- Doktor Washburn mówił zawsze, że jestem zdrowa jak koń, oprócz tego, że nie mogę zająć w ciążę - powiedziała Sally przez zaciśnięte gardło. - Nie stracę dziecka, co?

- Zrobię wszystko, żebyś urodziła zdrowego małego Bubbę albo Sissy, kiedy przyjdzie twój czas - zapewniła Lacy.

Po dziesięciu minutach Lacy spotkała się z Benem, który mało co nie wywiercił dziury w dywanie.

- Ona czuje się lepiej, skurcze minęły. Powinien ją jak najszybciej zbadać położnik, dzwoniłam po karetkę.

- Ale nic jej nie jest?

- Nic specjalnego. Nie krwawi, a to bardzo dobry znak, ale ma wysokie ciśnienie, a ponieważ zbliża się do czterdziestki i to jej pierwsze dziecko, chcę być pewna. Pojadę z nią karetką.

Karetką pokonała piętnaście kilometrów do Louisville nie wiadomo kiedy, podróż minęła bez niespodzianek. Po godzinie od ich przyjazdu do szpitala z drzwi jednego z pokoi oddziału nagłych przypadków wyłonił się młody mężczyzna, który wyglądał na ucznia liceum, i oznajmił Lacy i Benowi, że Sally ma się dobrze.

- Ale ponieważ jest odwodniona i ma podwyższone ciśnienie, zatrzymamy ją na obserwację - dodał.

- Dziękuję - rzekł Ben, ściskając bez końca dłoń lekarza. - I tobie, Lacy, dziękuję. - Ściskał ją, a po twarzy płynęły mu łzy. - Jak ja ci się odwdzięczę?

- Byle nie kolejnym cielakiem - roześmiała się Lacy.

- Co? - spytał młody lekarz.

- Wiejska praktyka - powiedział Jack, stając nagle za nimi. Zwrócił się do Bena: - Znalazłem Sally dobrą lekarzkę na oddziale położniczym, już do niej poszła.

- Dziękuję, doktorze - rzekł Ben.

- Pół cielaka zupełnie mi wystarczy - zapewnił Jack. Spojrzał na młodego lekarza, który wzruszył ramionami i odszedł. - Ci miastowi nic nie kumają - oznajmił, chwytając Lacy za rękę i ciągnąc ją do pokoju, w którym lekarze spotykają się na trudne rozmowy z rodzinami pacjentów. - Ben, możesz iść do żony. Przez te podwójne drzwi, potem w dół korytarzem, trzecie drzwi na lewo.

- Skąd się tu wziąłeś? - spytała Lacy, kiedy zamknął za nimi drzwi.

- Odwiedzałem starych znajomych.

- Byłeś mi potrzebny - rzekła chłodno.

Jack odstawił laskę, objął Lacy i pocałował. Lacy wyrwała się.

- O co chodzi? - spytał.

- O nic.

- To w wannie też było niczym?

- Chyba wiesz, że nie.

Pokręcił głową i położył dłoń na ramieniu Lacy.

- Nie chciałem, żeby tak się stało...

- No to trzeba było pozostać tym antypatycznym zrzęda, który przyjechał do Sunstone. Wtedy poprowadziłabym marsz protestacyjny, żeby pozbyć się ciebie z miasta.

Przytulił się do niej delikatnie.

- Gdybym miał pewność, że przeżyjesz w Chicago, związałbym cię i zabrał ze sobą, ale ty tego nie chcesz.

Lacy zamknęła oczy, dotknęła palcami warg i myślała, co ma mu odpowiedzieć.

- Czyli to koniec? Umawiamy się, że tamta noc była nieudanym eksperymentem medycznym?

Otarł łzę z jej policzka.

- To chyba nie jest dla ciebie szok.

- Jak długo, Jack?

- Zostaję do końca przyszłego tygodnia, jeśli wszystko ułoży się zgodnie z moim planem.

- A co z przychodnią w Sunstone?

Jack spojrzał na słońce, zmrużył oczy i uniósł ramiona.

- Czy ci się to podoba, czy nie, czasy dawnego dobrego wiejskiego doktora minęły.

- Nie - rzuciła ostro.

- Dadzą dziecku na imię Lacy, jak urodzi się dziewczynka? - spytał, zmieniając temat.

Lacy uśmiechnęła się na tę myśl. Lacy Dunbar. To dla małej Lacy Dunbar dorosła Lacy Archer zostaje w Sunstone, dla niej i dla Millie Ballard, Danny'ego Roya, Bobbo i Elvisa. Takie wybrała sobie życie.

Twarde postanowienie, które zasługuje na szacunek. Tyle że ono nie weźmie jej w ramiona, kiedy przyjdą nocne chłody.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Co zrobiłaś? - oburzył się Jack.

- Umówiłam nas na wywiad dla radia. - Lacy zasunęła zasłony w sypialni i cofnęła się, żeby sprawdzić, czy równo wiszą. Jej mieszkanie było prawie urządzone, jej nowe życie zbliżało się do normalności.

- A może ja nie mam ochoty? - Jack stał za jej plecami. Zasłonom nie można było nic zarzucić. Nawet w tym przypadku Lacy zrobiła wszystko tak perfekcyjnie, że zabolalo go, kiedy pomyślał, że będzie się musiał obejść bez owej perfekcji. Nie odwróciła się do niego. Przez minione dwa dni unikała jego oczu. A gdy ich spojrzenia spotykały się przypadkiem, widział w jej oczach pożegnanie.

- To zrobię to sama.

Jack miał opuścić Sunstone z końcem tygodnia. Poprzedniego dnia Lacy podsłuchiwała jego rozmowę, omawiał przez telefon swoje chirurgiczne dyżury. Był już jedną nogą w Chicago, oboje o tym wiedzieli.

- I tak nikt nie oczekuje, że weźmiesz w tym udział.

Lacy zerknęła przez okno i zobaczyła Bena Dunbara, który z zapalem budował zagrodę na przyległej do domu Fremontów, ziemi. Dom dla Bubby. Lacy, Bubba i dwa kociaki, które Ham dostarczył poprzedniego dnia. Tak teraz miało być.

- Wyjeżdżasz, zapomniałeś?

- A gdybym chciał tego wywiadu? - spytał nagle.

- To lokalna audycja, nikt w Chicago jej nie usłyszy.

- Sama powiedziałaś, że umówiłaś nas oboje. Gdzie jest ta stacja?

- W namiocie na placu targowym. Obchodzą tu dzisiaj Dzień Założyciela Miasta. - Rzuciwszy się na łóżko, Lacy zbyt szybko otworzyła oczy i sufit przed jej oczami zawirował. Kręcił się jak jej życie. Jak jej uczucia do Jacka. Najlepiej opisać tę karuzelę słowem „szalona”.

- Tamtego dnia, kiedy kochaliśmy się w wannie, spytałeś mnie, czy w innym miejscu i czasie mógłbyś być dla mnie tym właściwym facetem. Moja odpowiedź była szczerą. Teraz twoja kolej, Jack. Czy w innym miejscu i czasie byłabym dla ciebie tą właściwą kobietą?

Przeszedł przez pokój i usiadł na krześle wyściełanym materiałem w kwiaty. Nie pasowało do wystroju mieszkania, do surowego drewna i cegły, ale Lacy też do tego nie pasowała. Pasowała do domu z białym płótem, tulipanami i żonkilami i koronkowymi firankami. Była idealistką marzącą o życiu doskonałym, a on nie mógł jej zaoferować nic, co byłoby równie perfekcyjne, jak jej marzenia.

- W innym miejscu i czasie... - Przerwał, bo właśnie zaskrzypiały drzwi na dole. - Chyba mamy klienta - rzekł, podnosząc się.

- Świetnie trafił - mruknęła. - Nie myśl, że ci odpuszczę. - Zaczekała, aż Jack znajdzie się na parterze, i zeszła za nim. W innym miejscu i czasie. Inny Jack, inna Lacy. Ona nie ma zamiaru nigdzie jechać, on nie chce zostać. Koniec bajki. A teraz do przodu.

Do wczesnego popołudnia przychodnia opustoszała. Mieszkańcy Sunstone albo już bawili się na festynie z okazji Dnia Założyciela Miasta, albo właśnie szykowali się do wyjścia. Wszyscy prócz Lacy, która nie była w odpowiednim nastroju. Miała ochotę naciągnąć kołdrę na głowę i nie wstawać do wyjazdu Jacka, kiedy będzie mogła skupić się na tych wszystkich pozytywach, które przywiodły ją do Sunstone. I z powodu

których tutaj zostanie. Ale noc miała nadejść dopiero za kilka godzin, ponadto czekał ją ten nieszczęsny wywiad, postanowiła zatem znaleźć sobie kilka bezmyślnych zajęć, które wypełnią jej czas.

Problem w tym, że w przychodni nawet pozornie bezmyślnie prace wymagają koncentracji, a do tego Lacy nie była w tej chwili zdolna.

- Mam nadzieję, że ten nowy będzie starszy niż świat - jęknęła na głos, myśląc o następcy Jacka. - Albo szczęśliwie żonaty i z tuzinem bachorów. Albo będzie gejem. Albo kobietą.

Następca Jacka. Jakoś nie wyobrażała sobie nikogo innego na jego miejscu. Do niego należał stetoskop. Jego ręce badały pacjentów.

- Lacy - powiedziała głośno, opadając na krzesło przy oknie. - Skończ z tym. - Obróciła się, żeby wyrzeć na zewnątrz, potem oparła głowę i zamknęła oczy. - Wyjdiesz z tego. Wyjdiesz z tego, wyjdiesz z tego... - Powtarzała to jak mantrę przez kilka sekund, całkiem bezskutecznie. Pokochała Jacka. Pokochała Sunstone. Nie mogła mieć obu naraz. Zresztą nikt jej tego nie obiecywał.

Wstała, ruszyła do drzwi. Nie była w nastroju na festyn, ale nie miała też ochoty tkwić sama w domu, który, jak na miejsce zamieszkane od kilku ledwie dni, dorobił się wielu barwnych wspomnień.

Ulice były opustoszałe. Czasem przejeżdżał jakiś samochód, kierowcy pozdrawiali ją. Nie знаła jeszcze wszystkich w Sunstone, a ją znali wszyscy. W połowie drogi zatrzymała się i zajrzała odruchowo przez okno „Sunstone Cafe”. Przy barze siedzieli dwaj starsi mężczyźni, sącząc kawę. Jeden z nich wyjął ukradkiem z kieszeni płaską flaszkę, rozejrzał się i wlał do kawy porcję alkoholu. Drugi szturchnął go i także dostał dolewkę. Była tam również Cherie, ale ci dwaj byli dla niej o wiele za starzy.

- Brawo, Cherie - szepnęła Lacy. - Ty przynajmniej wiesz, czego chcesz, i śmiało wyciągasz po to rękę.

Sąsiedni budynek był granicą centrum miasta. Lacy przeszła na drugą stronę, żeby zmienić scenerię w powrotnej drodze do domu. Zajrzała do sklepu odzieżowego, potem do obuwniczego. Następny lokal był pusty, a w kolejnym mieścił się sklep z antykami, otwarty, jak głosiła wywieszka, tylko w weekendy po wcześniejszym telefonie.

Kiedy Lacy przydreptała do domu Fremontów, na dworze wciąż było widno. Do wywiadu została jeszcze godzina, więc po raz trzeci zaczęła przestawiać krzesła w poczekalni.

- Pożytecznie spędzone pięć minut - mruknęła do siebie, idąc do gabinetu.

Zapaliła lampę i patrzyła, jak gabinet zmienia się w jasnym świetle. Przypomniła jej się gabinet dziadka. Potem zobaczyła szczegóły... kilka książek Jacka na półce, jego biały kitel, którego chyba nigdy nie założył, jego dyplom na ścianie. Spojrzała na złote litery na dyplomie i zamrugowała powiekami. Jack nazywał się naprawdę Jonathan Andre. Jonathan Andre Sutton, lekarz medycyny.

Tak mało o nim wiedziała. Zajęła jego krzesło i podniosła słuchawkę telefonu. Dzwoniła do Chicago.

- Halo, Marian? - odezwała się, bębniąc palcami po blacie. - Chciałam z tobą pogadać o tej pracy na intensywnej terapii...

- Mówi do państwa na żywo burmistrz Jed Lambert. Są dziś ze mną, z dnia święta naszego założyciela, doktor Jack Sutton i siostra Lacy Archer. Jak większość z was wie, przejęli praktykę po doktorze Washburnie i urządzili przychodnię w starym domu Fremontów. Dodam, że John Fremont

ma się już dobrze, ale z przykrością zawiadamia, że nie będzie sędzią w konkursie na ciasto domowe w przyszłym miesiącu. - Burmistrz nadawał z namiotu, w którym procent wilgotności powietrza wynosił sto; na małym chwiejnym stoliku stał mikrofon i brzęczały muchy. Obok namiotu w samochodzie siedział inżynier dźwięku, bardziej zainteresowany zgrabną dziewczyną w szortach, która podawała sok wiśniowy z kruszonym lodem, niż swoją pracą. -Będziemy dziś rozmawiać o medycznej przyszłości Sunstone. Każdy z was może przyjść do namiotu i zadać pytanie osobiście.

Jack zajął składane krzesło i łyknął soku wiśniowego.

- Musimy porozmawiać - szepnął do Lacy. - Coś się wydarzyło i ja...

Lacy potrząsnęła głową i trąciła stolik, który zachybotał. Burmistrz rzucił niecenzuralne słowo do spadającego na ziemię mikrofonu.

- Przepraszam - powiedziała Lacy.

- To była siostra Archer - oznajmił burmistrz, wyjmując z kieszeni białą chusteczkę, którą osuszył sobie czoło. - Czy zechce pani powiedzieć kilka słów do naszych słuchaczy?

- Co? - Zakasłała. - Nie mogę...

Protestowała na darmo, burmistrz wyszedł z namiotu w poszukiwaniu świeżego powietrza i soku wiśniowego.

- Jesteś na antenie - szepnął Jack.

Energicznie pokręciła głową i popchnęła mikrofon do Jacka. Ten oparł się wygodnie, wziął szklanekę z sokiem i zaczął pić.

- Cisza w eterze - powiedział w końcu. - Niedobrze.

Lacy popatrzyła na mikrofon, jakby był to Wilbur, szykujący się do ataku. W końcu pochyliła się nad nim.

- Cześć. Mówi Lacy Archer - wybąkała. Jack wypił następny łyk i podniósł kciuk.

- Zastępuję chwilowo burmistrza Lamberta. Jestem pielęgniarką. Przyjmuję pacjentów od poniedziałku do piątku od dziewiątej rano do piątej po południu. - Nabrała powietrza i przysunęła bliżej mikrofon. - Zawsze jestem do dyspozycji w nagłych wypadkach, to znaczy, mieszkam w przychodni. Zresztą wiecie o tym, bo pomagaliście wyremontować budynek... także moje mieszkanie, za co jestem wam bardzo wdzięczna. - Wytarła pot z czoła. - Aha, dziękuję wszystkim za jedzenie. Muszę wziąć... wziąć od was przepisy, chociaż rzadko gotuję...

- Możecie mi przynieść te przepisy - sparodiował ją Jack. - Świetny tekst.

Lacy ponownie otarła spoconą twarz i puściła mikrofon ślizgiem w stronę Jacka. Ku jej zdumieniu, Jack nie cofnął się.

- A jak pani sobie radzi z tym potwornym upałem, siostrzo Archer? Nie poci się pani? - spytał, przekazując jej mikrofon z uśmiechem.

- Używam talku. - Popatrzyła wrogo na Jacka. - Noszę luźne ubrania... z cienkiej bawełny.

- A jeśli wystąpi pokrzywka?

- Istnieją skuteczne środki do stosowania miejscowego. - Posłała Jackowi triumfalny uśmiech. - A teraz doktor Sutton powie wam parę słów na nasz ulubiony letni temat, na temat komarów. Doktorze? - Mikrofon pojechał do Jacka i przewrócił szklanekę z sokiem.

- Skóra pogryziona przez komary swędzi - zaczął Jack. - I piecze, jeśli ją podrapujemy.

- Co więc pan radzi? - spytała lekko ochrypłym głosem.

- Nie drapać - odparł Jack.
- A jak można nie drapać, skoro swędzi? Jego twarz rozjaśnił uśmiech.
- Są takie swędzące miejsca, które trzeba podrapać albo nas wpędzą w szaleństwo. Nie można przestać o nich myśleć i nie ma na nie lekarstwa.
- A zatem trzeba się poddać?
- Zależy od tego, co nas dręczy.
- Jak by pan sobie poradził... - Nagle wysiadł prąd
- I w namiocie zapadła ciemność. - Co jest? - spytała.
- Chyba komuś nie przypadła do gustu nasza dyskusja.
- Tak, Jack, musimy porozmawiać - powiedziała Lacy, odstawiając mikrofon. - Zrobiłam coś, o czym powinieneś wiedzieć.
- Czy to ma coś wspólnego z moimi ulubionymi czarnymi stringami?
- Lacy podniosła się z krzesła i usiadła Jackowi na kolanach.
- Mogłoby mieć, gdybyś chciał mnie widywać w nich codziennie.
- Z każdą minutą w namiocie robiło się goręcej, wentylatory przestały działać, kiedy wysiadł prąd.
- Rozbierz się, pokażę ci nowe ćwiczenia - powiedziała.
- Tutaj? W samym środku Dnia Założyciela Miasta? To trochę zbyt śmiało, nie wydaje ci się? Jak na prowincję.
- Pojęcia nie masz, do czego zdolne są dziewczyny z prowincji. - Pocałowała go. - Potrafię dużo więcej, i jak tylko znajdziemy się w wannie albo dojedziemy do Chicago, bo nie wiem, co będzie pierwsze, udowodnię ci to.
- Chicago?
- Przyjęłam pracę w Chicago. Nie w twoim szpitalu, ale....

- To niemożliwe! - rzucił gwałtownie. - Lacy, nie możesz jechać do Chicago.

Poczuła się, jakby dostała policzek. Oczy miała pełne łez, które zaczęły spływać po policzku, mieszając się z kropelkami potu.

- Głupia jestem, co? Ja naprawdę myślałam, że to coś więcej niż seks. Chociaż to był najlepszy seks, jaki pamiętam.

Poderwała się i szykowała się do wyjścia, ale było tak ciemno, że nie mogła tam trafić.

- Lacy, zaczekaj! Nie możesz jechać do Chicago, bo ja tam nie jadę.

- Co? - wykrztusiła.

- Właśnie zrezygnowałem. Tam już nie ma tego, czego pragnę. - Wyciągnął ręce, żeby ją znaleźć i wziąć w ramiona. - Kocham cię.

- Zostajesz w Sunstone? - Przesunęła się ostrożnie w kierunku, z którego dochodził jego głos. - Kochasz mnie?

- Od dawna, odkąd popatrzyłem w twoje oczy.

- Ja też cię kocham, Jack. Dlatego mogę z tobą jechać do Chicago. To znaczy, nie powinieneś tu zostawać, jesteś chirurgiem....

- Jestem chirurgiem, mam nową pracę w Louisville. Byłem tam, kiedy przyjechałaś z Sally, chciałem wszystko ustalić. Na razie będę miał niepełny wymiar godzin i czas dla naszej przychodni. - Zrobił krok i wpadł na stół. -I znalazłem kilku wariatów, którzy pragną zobaczyć, jak wygląda praca wiejskiego doktora. Oczywiście, jeśli chcesz pracować z lekarzem z miasta.

- Mogę pracować z każdym, jeśli to cię tutaj zatrzyma. - Wreszcie znalazła go w ciemności. - To fantastycznie, Jack.

- Czyli wyjdiesz za mnie? Ty, Bubba i kociaki. - Pochylił głowę, żeby ją pocałować. - Masz na sobie te czarne... ?

- No.

Na zewnątrz spontaniczny chóralny okrzyk przerwał wieczorną ciszę, Jack i Lacy wstrzymali oddech.

- Chyba nie... - Jack postukał w mikrofon. - Test, raz, dwa, raz, dwa...
Myślisz, że to jest włączone?

Kolejny radosny okrzyk wystarczył mu za odpowiedź.

- Czym sobie zasłużyłeś na ten piknik? - spytała Lacy, idąc z Jackiem na łąkę.

- Byłem rano u Emmy Cathart, jak tylko wyszedłem od ciebie.

- Mam nadzieję, że tym razem nie byłeś dla niej przesadnie przyjacielski - zaśmiała się, wieszając się na jego ramieniu.

- To prywatna sprawa między mną i moją pacjentką. Ale dostałem kanapki z indykiem. A kiedy wpadłem zobaczyć Milli Ballard, uparła się, żebym wziął świeży placek brzoskwiniowy. - Jack zatrzymał się i rozłożył koc. - Mrożoną herbatę zrobiłem sam.

- Sam? - spytała z niedowierzaniem.

- No, zaniósłem termos do knajpy i sam go napełniłem. - Pokazał jej plastikową torbę. - Kelnerka kazała mi dodać cytrynę.

- I na pewno dałeś jej za tę radę ekstra napiwek.

Byli tydzień po ślubie, Jack wrócił do stołu operacyjnego, przychodnia coraz bardziej przypominała tę z marzeń Lacy. Ich mieszkanie na piętrze stawało się prawdziwym domem, a wieczorami, po ciężkiej pracy, kładli się razem do łóżka.

- Myślisz, że dziesięć dolarów to za wysoka zapłata za radę, która utrzyma mnie w twoich łaskach do końca życia? - Nalał herbatę i wcisnął do niej cytrynę.

Lacy czuła ciepło ramion Jacka i promieni słonecznych. Zrobiła tak, jak radziła Willie Pearl - dokonała wyboru, doskonałego wyboru.

- Naprawdę uważasz, że tu wytrzymasz? Co z twoją awersją do wiejskiej medycyny?

- Polubiłem prowincję.

- Na pewno?

- Na pewno. - Wolną ręką otworzył koszyk i wyjął kanapkę. -I nieźle tu mają żarcie.

- I co jeszcze?

- Bubba. Potrzebuje dwojga rodziców. Zwłaszcza ojca, żeby go nauczył grać w bejsbol i łowić ryby.

- To cielak - roześmiała się.

Jack uniósł palec wskazujący do ust.

- Ciii. Jeszcze usłyszysz, co o nim mówisz - ostrzegł. - Będzie mu przykro.

- I co jeszcze cię zatrzymuje?

- Gęsi na przykład.

- Jakie gęsi? Nie mamy żadnych gęsi.

- Nie mówiłem ci? Zatrzymałem się wczoraj po drodze u Wilsonów, by zobaczyć, jak tam Charlie, i dał mi...

- Gęsi. - Lacy przechyliła głowę, zmrużyła oczy przed słońcem i wlała do gardła strumyk mrożonej herbaty. Sunstone, Jack, Bubba i Sissy Sutton. To teraz jej dom i jej rodzina.

Usłyszeli charkot starego pikapa.

- Doktorze! - wołał Ham, stojąc na tyłach przychodni. - Wiem, że wam przeszkadzam, ale zajmę panu tylko minutkę. Mam w samochodzie świnie, gdyby pan na nią rzucił okiem...

RS